PSIE DUSZE

ZYGMUNT BARTKIEWICZ

PSIE DUSZE

NOWELE I OBRAZY

DRUGI TYSIĄC

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1910

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

PSIE DUSZE

Znałem człowieka, o którym mawiano, że psi jego los.

Szczery i zacny był człowiek, prawdę złym głosił, dla dobrych stawał się druhem serdecznym. Biedny był oczywiście, źle odziany, w psią pogodę zaziębił się kiedyś, potem cierpiał samotny. Głód, chłód nad nim się znęcał, aż wkońcu smutną dolę śmierć zmogła. Psia śmierć, w opuszczeniu.

Pośmiertnych mów nie prawił mu nikt, bo za trumną przyszło dwóch tylko: człowiek wielkiego serca, głodny, obdarty, i mały pies, chudy, kudłaty.

Pierwszy z tej pary przyjaciół pięście zacisnął nad świeżą mogiłą, komuś w świat żywych posłał przekleństwo.

— Szkoda, psiakrew, człowieka... — jęknął, żalem złamany, i poszedł z cmentarza zapomnienia szukać...

Drugi pozostał. Pozostał tak długo, aż go rankiem grabarz martwego za wrota wyrzucił, nogą zepchnął do rowu i zaklął:

— Psia służba!

Nie wiem, co w takiem marnem psiem ciele mieszka, co w niem myśli i rządzi, — dusza, nie dusza, to pewne jednak, że żyje tam serce. A tak tkliwe i kochające, tak przez biednych, opuszczonych cenione, że, doprawdy, należy mu się trochę ludzkiej wdzięczności; i dobrze uczynił ten sprawiedliwy, co zamyślił oddać wiernemu psu trochę uznania po śmierci, bez względu, że ludzie zimni, bezduszni, nazwą objaw serdeczny dziwactwem.

Mam na myśli psi cmentarz w Paryżu.

»*Cimetière des chiens*«, jak głosi napis u bramy wejściowej. Psa kulawego przy niej nie widać, w górze szumią akacye, spodem pluska Sekwana.

Dziwny to cmentarz, tem od innych różny, że niema na nim ani jednej zapomnianej mogiły...

Na wstępie pomnik psa »*Barry*«. »Uratował życie czterdziestu osobom, przez czterdziestą pierwszą zabity«.

Uroczyście, z dumą, opowiada mi grabarz o wielkim psie Francyi.

Na górze Ś-go Bernarda, w klasztorze, wśród zakonnej braci, żył Barry. Podczas śnieżnych zawiei odszukiwał zbłąkanych, wpół-żywych, odkopywał z pod śniegu, ciałem własnem ogrzewał, potem pomoc sprowadzał z klasztoru. W dwunastym roku tej służby ofiarnej, pewnej nocy burzliwej, wybrał się Barry na zwykłą wędrówkę, odnalazł żołnierza,

a gdy go ze śmiertelnego odrętwienia obudził, ten chwycił za pałasz, psa zabił.

Kultura Zachodu pozwoliła ludziom pochować psa-bohatera i wystawić pierwszy pomnik nie ludzkiej zasłudze.

Poza wielkim Barry leży tu sto kilkadziesiąt psów — bez historyi, a z nimi wspomnienia cichej, światu nieznanej poczciwości, ocenianej tylko przez tę wdzięczną rodzinę, której ów: »*gardien du riche, ami du pauvre*«, służył tak wiernie.

Wspomnienia te, obok imienia psa, w marmurze utrwalone, zawierają często myśli, aforyzmy zbyt może jaskrawe, zwykle jednak tak niepochlebne dla ludzi, jak gdyby to nie oni właśnie czcili pamięć swych wiernych przyjaciół.

Oto niektóre:

»*Im więcej poznaję ludzi, tem więcej szanuję zwierzęta*« — głosi kolumienka na grobie ukochanej *Yvette*.

»*Pies ma tę cnotę, że nie naśladuje człowieka, nie staje się zwierzęciem*« — oświadcza ktoś z żalem na płycie, poświęconej »*Rex*'owi«.

»*Nie kradł, nie kłamał, nie pożyczał, za oczy nigdy nie szczekał*«. To »Castor«, urodzony w Londynie dnia 17 grudnia 1873 r.

»*Za wiele kochała, aby mogła być zapomnianą*«.

»*W małem sercu — wielkie uczucia*«. *Cosette*.

»*Był mi zawsze przykładem*«. *Filou*.

I w tym rodzaju napisów sto przeszło, a między nimi, wbrew niezawodnie zamiarom, niektóre zabawne:

»*Obie cierpiałyśmy z powodu okrucieństwa mężczyzn*«. Trudno doprawdy w to uwierzyć wobec konterfektu, na którym »Vesta«, srogi kundys moręgowaty, z rozwartą paszczą — »o dobrą pamięć prosi«.

»*Była zbyt uczciwą, zbyt szczerą, aby żyć między ludźmi*«. Zwała się *Cocotte*...

Obok: »*Umarła — zostałam bezbronną,* — zwierza się publiczności właścicielka białej *Coucou*. Dalej: »*Ta jedna była mi wierna!*« — wzdycha *M-r Roger*.

Nie brak i cudzoziemców na owym cmentarzu, leżą tu bowiem i »*my dear* »*Bob*«, i »*Beloved Alea, my faithful companion*«, i »*Schatz*« pod paciorkowym kołpakiem, »*La Tosca*« pod marmuru bryłą, »*Łowkij*« pod granitem, aż wkońcu, przy małym świerku, na żelaznej płycie — »*Bécasse*« i... »*Bekas*« w nawiasie.

Wzrusza mię ten pies-rodak, i widzę wyraźnie młodych lat przyjaciela: duży, kasztanowate łaty, cały nakrapiany, uszy długie, wargi obwisłe, a łeb pomarszczony, pełen powagi, i tak rzadko spotykanej u ludzi godności w wyrazie.

Kto nie znał takiego Bekasa, dzielnego stróża, szczerego przyjaciela? Kto z nim nie brodził po

błotach, kto nie podziwiał w suchem polu wytrwania, lub nawet w chwili właściwej gończych talentów? Kto wreszcie nie słyszał o jego rozumie jakiejś nadzwyczajnej historyi, często przechowywanej w pamięci rodziny, jako miłe, często wzruszające wspomnienie?

A wkońcu, kto nie widział takiego Bekasa w polu lub rowie przydrożnym, a nad nim wron chmara?...

I oto doczekał się poczciwy wyżeł uznania zasługi, doczekał się we francuskiej ziemicy uczciwego pochowku, ale rodzime jego nazwisko poszło w nawiasy.

Za tym grobem ubogim rozpoczyna się ptaków kwatera. Spoczywają obok swych wrogów — kotów, spoczywają zgodnie, jak ludzie — po śmierci.

Drobny ten, jeśli się tak wyrazić można, przemysł sercowy nie wzrusza i wobec ptasich mogiłek przychodzi na myśl przez tak wielu, zwłaszcza w stosunkach rodzinnych, doświadczona prawda, że łatwiej rozsypać słowa tkliwego serca po całym świecie nędz, niż kogoś we właściwej chwili rublem obdarzyć. Rubel, raz zmieniony, nigdy nie wraca do dawnej całości, uczucia zaś można zmieniać na drobne, najdrobniejsze, bez obawy, że kiedyś wyczerpać się mogą. Takie drobiazgi właśnie, na atomy podzielone uczucia, zdają się trwać w tych ptasich nagrobkach, klateczkach, napisach...

»Znaleźliśmy ją zdrętwiałą, wracając ze szkoły. Była nam długo przyjaciółką« — czytam na jednym z ptasich pomników.

Zima, ptak, dziecko, przywiązania wyrazy — mile to brzmi w ustach dziecięcych, milej o wiele, niż myśliwskie tryumfy zbrojnych we flowery chłopaków, — ryte jednak w marmurze traci na prostocie i wdzięku, równie w żywocie jakiejś kotki, *Misette, Toto*, czy *Lolotte*, bez względu na jej angorskie, czy też pospolite, piwniczne pochodzenie, trudno dopatrzyć pobudek do sentymentów, tak tkliwie wyrażonych na tych kocich marmurkach.

Zadowolenie, jakie wypowiada »etranżer« po spożyciu królika w podrzędnej paryskiej restauracyi, wydawałoby się dla francuskiego kota dostatecznem, po śmierci, uznaniem.

W zakończeniu mojej wędrówki rozpoczynam z damą odźwierną rozmowę i oto:

Kapitał zakładowy »*Société française anonyme*« — 350 tys. franków, złożony ze 100-o fr. udziałów. Opłata za grób na lat 10 — 50 fr. Miejsca wieczystej dzierżawy, według umowy, od pięciuset franków począwszy.

— A groby familijne?

— Dotąd nie było zamówienia — odpowiada mi z całą powagą.

— A psy nie straszą po nocach?

— Rzadko się zdarza, ale za mojej pamięci

był taki wypadek. Włóczyła się tu jedna pokutująca dusza.

— Ależ, dobra pani, pies nie ma duszy.

— Ma, ma. I duszę, i serce, i rozum... I sumienie. A człowiek?... Tylko wtedy, gdy go zawiedzie szczęście do handlu...

I uśmiechnęła się, odsłaniając szereg białych, jak z psiej kości zębów.

RADOSNY DZIEŃ

Mańka Śmich, zwana przez koleżanki — »małpa-opera«, ze względu na zamiłowanie do śpiewu, ma na jutro »wychodnią«.

Właśnie ze starą obliczyły puszkę, z której wzięła uskładane przez kwartał, po umówionej dziesiątce sześć rubli, a trzydzieści kopiejek zostało tak. Prócz tego ma w bieliźnie cztery, uzbierane »z kawy«, znaczy, razem dziesięć, jak oko.

Ciężki grosz, ale Mańka nigdy o tem nie myśli. Rzuca pieniądze. I biednemu da i kataryniarzowi ciśnie, ale teraz dla niej właśnie chwila najmilsza gdy sobie obmyśla, co kupi Józce, co Bronce, co Heli, a co Alfredzie. Byle czego Alfredzie nie można.

Już też od dni kilku spotykają Mańkę drobne ustępstwa, towarzyskie grzeczności, a wogóle, w zachowaniu koleżanek, honory. W przeddzień wychodniej, uprzejme wyróżnienie wznosi się do tkliwości i zwierzeń, z których niekiedy wyłaniają się sprawy całkiem materyalnego gatunku:

— Więc, moja złota, kupisz mi klamrę do paska, tylko żeby gustowna.

— Gumy niebieskiej, sześć łokci.

— Ramkę dla mnie, pamiętaj, pluszową, szafir.

— Mydło fijołkowe prawdziwe.

Niekiedy też i sprawy poufnej natury, które powierza się gdzieś w kącie, półszeptem, w pośpiechu:

— Więc żebyś u stróżki, co będziesz tylko chciała, to ci już dam, żebyś się zwiedziała u stróżki czy do niego przychodzi w zielonem kapeluszu i białych boach wysoka broneta. A jakby nie mieszkał, to gdzie, i już idź moja kochana, i czy wysoka broneta w zielonem kapeluszu...

Mańka słucha tych zwierzeń i polecenia przyjmuje, sama jednak żrącą troskę ma w duszy.

Bo kocha Mańka, i choćby to komu dziwnem lub nawet wprost niemoralnem się zdało, kocha tak samo mocno i szczerze jak te, które się szanuje, — szanujące się często ponad jedyną zasługę trzymania na wodzy rwących się, jedynie szczerych swych pragnień.

Tylko, że zwierzę jest Mańka, brak duszy jej poczuć. W chwili zwątpień bolesnych, nastrojowych pamiętników nie pisze, drze własne ciało zębami, wyje psim głosem.

Także niedobrze, że dwóch ma wybranych. Dwóch kocha. A gdy z tego powodu czynią jej koleżanki słuszne wyrzuty, tłómaczy się Mańka:

— Ja każdego inaczej.

W szerszym, a ze szlachetniejszych pierwiast-

ków myślowych złożonym świecie, gdzie dążą do swobody ducha wolnego od wszelkich wpływów zewnętrznych, przewiduje się tego rodzaju psychologiczny wypadek, w ćwierćświatku. Mańki Śmich jednak, ta różność gatunku miłości, zwróconej w dwie strony, wywołała niezłożonej treści uwagę:

— No to ja ci powiem, Mańka, po prawdzie, żeś już małpa ostatnia.

Ale i to krańcowe stanowisko zgoła Mańki nie wzrusza. Wie z pewnością, że kocha, ponieważ zaś każdy czem innem ją olśnił, więc kocha dwóch.

— A tak. Ignaca za jego podły charakter, a Stachnę, bo delikatny dla kobiet.

*
* *

Świtkiem już zerwała się z łóżka.

— Zimno, — choroba... W Imię Ojca i Syna i Ducha... — i nogi wsunęła w kalosze, a potem na halkę różową, chusta żółta włóczkowa i boa.

Potem do lustra. Wymazała usta czerwoną pomadą, policzki szmatką przetarła, na starej ceratowej kanapie już siedzi, rozmyśla:

Błogi dzień nadszedł. Wyjdzie, odetchnie. Przedewszystkiem na róg, skarby-chłopy będą tam obaj. Śniadanie, a potem sprawunki. Po sklepach, wszędzie, mówią jej pani. Pani będzie łaskawa. I nikt nie wie, kto ona jest. Myślą sobie — mężatka. Zeby tylko nie zapomniała obrączki od Józki. Cholera,

ta Józka, męża ślubnego ma, a chodzi tak. Do cukierni też pójdzie: czekolada i ciastka z jabłkami, a potem funt karmelków tam kupi.

— Co się należy? — Wyjmie trzy ruble z portmonetki, z mufki.

— Pani będzie łaskawa do kasy. A w kasie:

— Proszę, pani będzie łaskawa.

Bardzo, bardzo przyjemnie. I śpiewa:

»Z brzękiem gitary, z cichem westchnieniem
Młoda cyganka...«

— Małpa-opera! — ktoś we drzwi jej rzucił.

— Niech się Bolesław nie wymyśla, tylko nafty do lampy, bo się będę fry-y-zowała.

— Owa, a cóż to? Na dzień?

— Wychodnia! Wyy-cho-od-nia! La, la...

Jakby słońce w jej duszy rozbłysło.

* * *

Ubrana. W jasnym pluszowym żakiecie, »od jednego z Moskwy«, w cytrynowego koloru bucikach na guziki, długich, przyciasnych, śmiejąca się, śpiewna, żegnana uśmiechami, w gwarze przypomnień o niebieskiej gumie i ramce szafir, z życzeniami dobrej zabawy, ucałowana przez wszystkie i już rozbawiona, zeszła w ulicę.

Słońce, świat, życie. Owiał ją czar. Tysiąc pragnień przeleciało przez myśl, w mózgu aż zakoła-

tały wspomnienia, i wnet całkiem dla niej niespodziewanie zrodziło się postanowienie: nie wróci.

I już, jak nagły błysk coś leci przez cienie jej myśli, aż Mańkę wziął strach, skąd nagle taki rozum jej przyszedł.

Za nic nie wróci. Ma przecie kilka rubli, i co na sobie, porządne. Może przebiedować i miesiąc i dwa, a tymczasem poda do gazet: poszukuje pracy...

I będzie żyć chlebem i wodą i czekać, ale do Kuryera pojedzie dorożką. Do szycia, czy co, a może gdzie do sklepu się trafi. I codzień wolna, codzień powietrze, wesoła ulica, i ludzie dobrzy, poczciwi, nie potrąca, nie wymyśla nikt.

Tak. Tak się stanie, aż kipi w mózgu, i dziw Mańce, że tak długo znosiła to podłe życie, że też łba nie rozbiła sobie, czy komu, gdy szedł do niej, zimnemi ustami całował... a często jeszcze pijany. Aż zimno, gdy pomyśleć na trzeźwo. Nie, nic, niech będzie co chce, choćby do statków się zgodzi, ale do tej czarnej nory nie wróci. I taka szczęśliwa, taka szczęśliwa, a tu jeszcze za chwilę Ignaca zobaczy i Stachnę.

»Śliczne gwoździki, piękne tu-ulipaa-ny,
Gdzież się obraca mój chłopiec kochany?
Czyli go wzieni żeglarze na morze,
Bo się me serce utulić nie może...«

Śpiewa półgłosem, i wszystko w niej śpiewa, a w myślach nic, tylko to przyszłe życie.

Malutki pokoik na Tamce, ptaka też sobie kupi, i kwiaty... Może kto kiedy... kwiaty... jej... — zabiło żywo w niej serce, jakby ból nagły ją przejął.

Lecz oto i róg. Czerwone szyldy: J. Kolusiński, — wódek, likierów, — czarne litery, a w oknie zasłoniętem ciemną firanką szare, gotowane mięso i pięć pomidorów.

Śmiało, pewnie, obejrzawszy się, z nałogu, za siebie, zwróciła się Mańka do bramy, w ciemnem jej wejściu drzwi nacisnęła. Wrzało. Ktoś płakał, ktoś śpiewał.

Dym w nią uderzył, gęste kłęby wyziewów i ciepła stęchlizna, wnet jednak dojrzała dwóch swoich, z jakąś »małpą« siedzieli.

— A!... Mańka! — zerwał się z za stołu chłop blady, wytarty, i do niej zatoczył.

— Czekam! — gorąco dychnął wódką jej w twarz, i gnaciastą łapę wysunął, zamierzył się drugą:

— Piniendze!

Zmalało radosne serce w dziewczynie, jakby mały kłębuszek do gardła posunął i oddech jej zaparł. Drżącemi palcami, z czerwonej sakiewki rubla dobyła, potem drugiego; zatłukły się dwie monety w latającej dłoni.

I stała cicha, żebrząca.

— Dwa ruble... Ach ty... twoja... dusza!...

Ręka na twarz jej spadła. I jeszcze, i jeszcze z dziką radością przemocy.

Pociemniało w oczach dziewczynie, zacisnęła szczęki, rzuciła się naprzód, lecz już serca zabrakło, słabość przygięła kolana.

— Nie bij mnie, Ignaś... — i czepiała się trwożnemi rękami jego chudych nóg, łkając:

— Ja widzisz... Ja chciałam... życie odmienić, ale ja ci, ja zaraz całą skarbonkę... Jak Boga przy skonaniu, wszystko. Przecież to twoje... Ja dla siebie nic... Nic... Nic...

Tyle bólu, tyle rozpaczy, że aż warknęło w szynku, bluznął zły wyraz. Zwolna podniósł się Stachna, czarny, ponury.

— Ostaw dziewuchę.

— A co?

— Ostaw. Nie lubię jak skiełczy.

Ale Ignac coś mu odszczeknął, i już się spletli rękami, zaciemniały jakieś długie nogi w powietrzu, i — łomot, jakby kto cisnął kłodę o ziemię.

Siadł Stachna, ani nie spojrzał.

Padła cisza na szynk. Powoli z za bufetu ruszył gospodarz, człek co rozmaitości już widział, niczemu się nigdy nie dziwił. Zwolna, niedbale karafkę nad leżącym pochylił i lał. Po długiej chwili od podłogi uniosła się głowa, opadła. I znowu, i znowu, aż wreszcie chrząknął rozbity, odkasłnął, wielkim, czarnym skrzepem krwi splunął i jęknął:

— Odegram się... Panie Kwiatkowski.

* * *

Siadła Mańka za stół i — piła.

Po malinowej, wiśniową i różne, bo już bardzo słodkie wódki, jej były do gustu. Lubiła wszystko co słodkie, że nie wiem. I było jej słodko, za dwa razy, gdy w zachwyceniu patrzyła na Stachnę, podśpiewując z cicha, raz po raz jednak zwracała oczy, gdzie siedział Ignac rozparty, wyzywający, a zwolna popijał gorącą wódkę z tłustością, jako że dobra na wnątrze.

Radaby Mańka mieć ich tu razem przy sobie bo miło, gdy jeden nie wie, że drugi równie kochany, a obaj są w zgodzie. Z przemyślnością damy ze świata, dbającej zawsze o harmonię przyjaźni kochanka i męża, jednak mniej od niej zuchwała, chwilami pokorna, czołgająca się jak pies, rozpoczyna Mańka rozmowę:

— A jak go Stachna rzucił o ziemię, myślelim, że się stancya zawali.

I po chwili.

— Ale dobrze mu tak. Już teraz aniby śmiał z nami tu usiąść. Ani mu w myśli.

Odkasłnęła po wódce, znów zagaduje:

— Tylko paluszkiem Stachna by kiwnął, zarazby tutaj przyleciał. Może nie?

Ale nic Stachna.

Śpiewak ze swoją do nich się przysiadł, wie Mańka, że bystry, więc tylko mrugnęła do niego, on jej odmrugnął i dobrze.

»Kobieta«, że nieznajoma, więc ze swojej wódk pierwsza do Mańki przepiła, ucałowały się zaraz, napiły się znowu i potoczyła się bujna rozmowa. Kłębiąca się rozmowa, jako fala wartka, niema dla niej przeszkody. Bluzga raz po raz jakimś strasznym wyrazem, co jak garść czarnego błota pada w stronę jedynych czystych ideałów ludzkiego kochania.

A nic ludzkiego w takiej rozmowie, prócz dźwięku wyrazów i prócz pychy, jaka te wszystkie piersi rozdyma.

— Ja zrobił, ja dał. Mnie znają, boją się mnie, nikt we świecie jak ja, mój rozum, mój — honor.

I dziwne, że na dwóch odległych szlakach, kędy ludzkie sprawy bieżą, gnane przez życie, na szlaku górnym ludzi wybranych — twórczych, pracowników, i na samym spodzie upodlenia myśli, rozbestwienia czynu, — nad wszystkie uczucia wyrasta — pycha.

A ileż to jeszcze wspólności z tym mrocznym światem, co nas grozą przejmuje...

Jak wiele uprawnionych czynów, a jak rodzeństwo blizkich...

Kipi rozmowa, tętni chwilami. Od czasu do czasu zabiera ktoś głos i prawi, jakby drwa rąbał, pryskają słowa potworne, a każde aż boli, nagle jednak zrywa się wątek i cisza. Chwilami szkło dźwięknie, niekiedy ktoś westchnie:

— Cholera — psie życie!

I znów zwierz się rozjusza, radby się rzucił i targał, jedynie dlatego, że ktoś syty, że groza śledztwa, badania nad nim nie ciąży.

— Hej, Mańka, pijesz, nie pijesz?

Niewładna ręka pochyla butelkę, czerwony płyn już spływa po brzegach kieliszka, węży się strugą na jasnej ceracie, pod siną, nabrzękłą twarz śpiącej Mańki.

Oczy rozwarła mętne, jakby białe oczy.

— Co lejesz, śmieciarzu, psia twoja... dusza.. pijana.

Śpiewak rzucił się ku niej, lecz nagle usiadł tuż obok, blade, rybie oczy w nią wparł, westchnął.

— Bardzo zagadkowe jest serce kobjety.

Zwolna podniosła się Mańka, i chwiejąc się, straszna, nabrzmiała, ze śliną cieknącą z czerwonych ust, skrzywionych w uśmiechu, posunęła się do spoglądającego wzgardliwie Ignaca.

— Cierpiałeś przeze mnie... Masz Ignaś i bierz... I już tak zostanę jak byłam, bo z czegóżbym tobie... I bij!... ale — nie ciśnij mię Ignac, — nie ciśnij, bo Pan Bóg cię...

Skowyt w niej zakotłował, ugięły się nogi, zwisła na stole, patrząc z pijaną rozpaczą w twarz swego pana.

— Bardzo zagadkowe jest serce kobjety.

U WOŁYŃSKIEJ GRANICY

Ruszyliśmy na Lublin, Lubartów, Parczew, do Włodawy.

Do tej samej Włodawy, gdzie przed dwustu laty z górą, Jmć Pan Pociej, późniejszy Hetman Wielki Litewski i Wojewoda Wileński, Klasztor OO. Paulinów fundował, który dzisiaj »Ujezdnoje prawlenje« nazwany. A wkoło stare, polskie krzyże stoją, — pamiątki dni sławy i męki, a na ich ramionach w obcym języku napisy:

Od głodu, ognia, wojny zachowaj nas, Panie!

W rabunku, Panie Boże, wspomagaj, — brak tam jeszcze westchnienia, co w duszach »prawdziwych ludzi« mieszka wyryte, a gorętsze i szczersze niż starej litanii wzywania.

Na łono Chełmskiej gubernii ma przejść właśnie powiat Włodawski, bo tak dobro kraju i uciśnionej wiary wymaga.

...Panie Boże wspomagaj...

* * *

Smutne, biedne, brudne miasteczko — Włodawa. Żadnych myśli, pragnień, porywów, jak u dawnego

poddańca, co to z rąk do rąk przechodził, nie zastanawiał się zgoła, bo nad czemże myśleć, czego się obawiać, kiedy gorzej nie będzie, — nie może być gorzej.

— My już z dawna nawykli, że dusza w nas płacze. Toż piszą po książkach, jak za królów nam było, a unja, strach wspomnieć. A że wolność, — co z tego, a teraz, że nowa gubernia, tak cóż? Len nie obrodzi, chleb nie wyda więcej, a czy nam z Mazurem czy z Moskalem żyć, to już wszystko zarówno.

I patrzy chłop udręczony smutnemi oczami gdzieś w dal i zwolna odchodzi, cichy, niemowny. Zmierzchły tam w duszach jasne nadzieje, a gdy śpiew spłynie na usta, tylko skarga w nim dźwięczy, a gdy kochanie w sercu się zbudzi, obawa głodu je zgnębi, i rozchodzą się młodzi z cichym bólem, bez łez.

— Ne ma hroszy, ne treba lubity.

A lud taki piękny, i śmiały, i rosły, i barwny, i strojny, zda się, że do kochania tylko stworzony. Chłopiec, gdy włoży czarny spencer odświętny »z sinienkiem«, ozdobnie wyszyty i pasem otoczy a mołoducha przywdzieje na siebie »z piereborami seroczkę«, i gorset, i fartuch, czerwonym pasem brzeżony, a na białej szyi zawiesi z kitajkami paciory, »chwałdami« potrząchnie, i pójdą oboje, rwą oczy za sobą, bo takie w nich młodości, nieuczonych wdzięków, czary.

Obok tych ludzi, rzewnych, rozełkanych w śpiewie, żyją trzeźwi i chytrzy.

Jak podstępna jemioła na dębie, który zwolna swemi splotami otoczy i ssie z niego życie, tak przypięła się do nich zgraja, i — pije, za to ich w znoju, z ziemi wydarte, ubogie grosiwo.

I aż dziwno, że marne to, koszlawe, o twarzach obrzękłych, jakby zaplutych, zawsze skwaśniałą wódką cuchnące, a znęca się i przewodzi nad tym ludem wspaniałym, bujnym, twardym jak buki, barwnym jak kwiecie łąkowe, dopuszcza się najzuchwalszych rabunków, pod znakiem krzyża »prawdziwej wiary«, a lud silny, — bezbronny, składa cicho, pokornie, swych uczuć, zdrowia i szczęścia ofiary.

— Podawysia! — szepnie tylko zuchwalszy.

A na to mu odpowiadają z uśmiechem:

— Kto przy powiecie mieszka, ten z powiatu żyje.

* * *

Jest we Włodawie, oczywiście, warszawska ulica. U jednego jej krańca dwie wieżyce kościoła, i właśnie murem grodzą świątynię, która dotąd była połączona z klasztorem-powiatem, u drugiego cerkiew wyniosła urąga poczuciom harmonii kolorów, a restauracya w połowie ulicy.

Tam ścierają się zdania, gdy je winne pary

spędzą z myśli na usta, tam polityka, tam często łączą się dwa światy, dwie wiary w jedno kruche ogniwo, tam wreszcie snują się brudne plotki małego miasteczka. Kto na czem zarobił i ile, kto zwyczajnie coś ukradł, ilu miała pani naczelnikowa kochanków, po co aptekarz do Warszawy jeździ, z jakich funduszów nadetatowy telegrafista sprawił lakierowane kamasze, i dlaczego służąca od rejenta odeszła, a nad wrzawą głosów uroczyste, poważne, jak apostolskie wezwanie:

— Dwunastka do r-rogu!

— Jedna drugą do środka... i ha-ha-ha i ho-ho-ho, — bo ktoś, co »ma zawsze dobre kawały« jakąś starą, smutnie głupią opowiedział anegdotę.

O cóż tu pytać w tym klubie zebrań towarzyskich, gdzie »tylko sama inteligencya się zbiera«? O czem rozmawiać z tym gatunkiem ludzi, albo pijanych, albo tchórzliwych, bez myśli, bez zdania, a świdrujących oczami, czy to czasem nie »działacz« jakiś z Warszawy przyjechał, którego jutro zamkną do kozy, a ty bracie dzisiaj się strzeż, abyś »liszniego słowa« nie wyrzekł.

— Taż dobrze jak jest, panie kochany. Do kart mamy swoją partyjkę, a trafi się wypić: także w jednej kompanii, i tak powiedz pan sam, co nam za interes, do jakiej gubernii przypiszą. My tu ludzie spokojni, nie politiki my żadne, gazety nawet do ręki nie bierzem, i zato nam dobrze.

I dobrze, zaprawdę, jak w bajce Kryłowa, gdzie mowa o dębie...

* * *

Jest we Włodawie stary cmentarz żydowski. Powiadają ludzie, że już od stu lat na nim nie grzebią, a kiedy on powstał — kto jeho znaje?

— Bih, albo — bis.

Na wzgórzu, porosłem brzeziną, rozsypane płyty kamienne, a na nich hebrajskie napisy, pracowicie wyryte. Dziwnie przejmujące sprawia cmentarz wrażenie, bo te proste, z gruba ociosane głazy, z mocą w ziemię wrosłe, mają w sobie i grozę śmierci, i moc nieśmiertelną, a rozsiane wokoło dziko rosnące kwiaty mówią o życiu. I tak to wygląda z daleka, jak gdyby te szare kamienie same z ziemi wyrosły, jakby nic człowiek tutaj nie działał, a smutek bolesny, samotny, bez ludzkiego kłamstwa pomocy, do starych głazów się tuli, mówi o tem, co było, co zgasło...

Między pomnikami zwijają się ludzie z kosami, klną i pomstują, bo kosa z kamieniem zawsze w niezgodzie, ale —

— Mądre są żydy, — powiadają kosiarze, — bo jakto zmedytowały, że kamień ostanie na wieki, jak dusza, a u nas krzyżyk drewniany postoi, postoi, i nic z niego, i nawet gdzie stał, niewiadomo...

Sporzej mi z prostym ludem, niż z »inteligencyą« rozmawiać, bo choć niemowny w tych stronach i nie lubi się skarżyć, żal jednak w oczach jaśnieje, a w tem ich: »nam już wszystko zarówno«, smutku jest tyle.

— Bo my, panie, z unjatów...

I chłop wielki, prawie olbrzymi, sparł się na kosie i głosem śpiewnym, dziecięco łagodnym, a z wielką myśli powagą, tak prawił:

— A co powiadacie, że wolność, to pusta mowa. Wolności niema na świecie dla człowieka, co biedny, a że wiara swobodna, mówicie, ta jakże ją zmieniać, kiedy tylko sam Bóg wie, która najlepsza. Ot wam cmentarz niepoświęcany, żydowski, bez krzyżów, bez Męki, a kwiaty po nim też rosną — od Boga. Na ich-nią wiarę, znaczy się także łaskawy, także na naszą, także na ruską, ale unjacka, ta stoi na boku, bo nie z dobrawoli to wiara, nie z serca szczerego...

Kosą kilka razy po bujnych trawach, po bodiakach, po szczawiach posunął.

— Ot, popatrzajcie, z tej strony Buga: Orchówek, Szuminka, Dołohobrudy, Pawluki, a z tamtej Olendry, — wszystko wsie polskie, zaś czy im lepiej, czy oni lepsi, jak w Priborowlu, czy Charsach, gdzie przy wierze stoją.

— Rozmaita nam wiara, tylko bieda jedna... Z Bogiem ostańcie.

Opodal cmentarz katolicki z prawosławnym złączony, jeden tylko tam napis zwraca uwagę.

»Niech ta ziemia kochana,
Niech ta ziemia rodzona,
Na me piersi spadnie«.

Lecz smutny jakiś powiew od tej ziemi idzie, czy to na cmentarzu, czy w środku miasta. Nawet na cudnych łąkach nadbużnych coś płacze, żalem zawodzi, choć chłopcy ze śpiewem wracają z pokosów i pleszczą w dołonie krasne mołoduchy.

*
* *

Wracamy: pod Włodawą — Różanka — posiadłość wspaniała, a pałac, według podania, Piotr Wielki w darze dla Pociejów budował.

— Niech będzie pochwalony... — ktoś mówi po drodze.

— Na wieki... A skądże?

— Z Różanki.

— Cóż dobry dla was pan hrabia?

— Bajki, panowie... Może on też i dobry, ale ciężkiej ręki pan grabia.

— A cóż powiadacie na nową gubernię.

— Cóż nam powiadać? Nam wszystko zarówno, kto bije i w jakiej gubernii.

Dalej na Lublin, lasy Żyżyńskie, Markuszew, gdzie pomnik, a na nim tablica — pamiątka, że

w tem miejscu »banda polskich miateżników« napadła dwie roty, że jednak ów żołnierz nieprzyjaciół nie liczy, tylko pyta, gdzie oni, — zwyciężyły dwie roty, a potem poległy.

Tak głosi złotopisana tablica.

Wkońcu najmilsze wrażenie z wycieczki — Kośmin pp. Kossaków.

Syn wielkiego malarza, ducha arystokraty, wita drogą zmożonych, ze śmiejącą gościnnością, tak szczerze polskim dworom właściwą, a choć towarzystwo nasze z ludzi różnych poczuć się składa, wprost czaruje wszystkich ten wytworny, urodziwy gospodarz.

Wszędzie ten wdzięk nieuchwytny, nigdzie nieznany, co tylko w polskich dworach żyje zaklęty, w ukojeniu schodzi na myśli, udręczone przez miasto.

Tedy parę godzin miłej gawędy, a potem noc i poranek i podróż. Znów zjadliwie wyje samochodu syrena, szerzy postrach i grozę.

I coraz ciszej jakiś śmiech srebrny w myślach mi dzwoni...

NA BIELANACH

»D. 19-go maja 1766 roku, z rozkazu króla imci, na Bielanach był bal tak wspaniały, jakiego tu nie pamiętają. Wschody od Wisły na górę, i różne bramy, teatra, a machiny nowo wystawione, rzęsistym ogniem i piękną inwencją iluminowane, przedziwny okazywały widok. Dodał wesołości fajerwerk pięknie zapalony. Nie tylko dla państwa, ale i dla pospólstwa, wszystkiego hojnie dodawano. Dla chłopów też rozrywki i *praemia* były wyznaczone. Król w licznej asystencyi Wisłą przybył, i od miasta, na rzece zgromadzonego, w ubranych pięknie łodziach, był witany, stamtąd aż po północy do zamku powrócił«.

. . . .

Chmura pyłu nad szosą bielańską. Wyciągniętym kłusem prze pół setni kozaków, na uroczystość doroczną. Ten i ów ledwo im z drogi uskoczy, tamten przeżegna, a inny zapyta:

— I powiedzta ludzie, po co to jedzie?

— Żeby było każdemu bezpieczno.

— O laboga! Laboga!

* * *

Maj, słońce, Zielone święta, i szczerozłota zgoda przedsiębiorców żeglugi na Wiśle. Aż drżą od muzyki pomosty, fale tańcują. Podług taktu się chylą gałęzie wierzbiny, podług taktu szewc pije, nagle takt stracił, cisnął szklankę o ziemię, wpół objął Maryannę i od siebie, od siebie, poleczkę już drobi.

Za nimi i drugi, ale tak coś, jakby walca, bo już taka muzyka, że »do każdego gustu pasuje«.

— I na śmierć, i na wesele! — pan kapelmistrz powiada — i rznie muzyka od ucha. Podług taktu się chylą gałęzie wierzbiny, podług taktu szewc pije.

A dwaj dońcy, opodal, postukują kolbami.

— Aj, sławno!

Maj, słońce i zgoda.

Jękła syrena, ruszył »Merkury«. Za nim kłęby wody spienionej, za nim westchnienia tych, co statek żegnają. Pieniądz niewielki, temci większe zmartwienie, gdy brak.

Już Stare Miasto; dom z domu wyrasta, nad nim gdzieniegdzie wieżyca wystrzela, ale szare to, smutne, bez blasku, tylko gdzieś dalej, złotem świecą kopuły.

Już Panna Marya, a z drugiej strony ciemny pas Saskiej Kępy. Na statku gwar się podnosi, wspomnienia, brzmi »oj-ra!« z piersi uciechą wezbranej, tuli się pan Władysław do »swojej« i szepcze:

— Ludka... pamiętasz?

Płoni się Ludka.

— Ach... nie wspominaj...

Cytadela na lewo. Czerwone, surowe mury, twarde, nieuległe, wśród młodej, odrodzonej zieleności, krwawym szlakiem biegną daleko. Chyli się jakaś staruszka i żegna, jak przed kościołem cmentarnym.

— Wieczny pokój, wieczne odpocznienie racz mu dać, Panie...

I cisza na statku. Do każdej głowy myśl ponura się ciśnie, nie śmie spłynąć wyrazem na usta.

Pruje złotoszare wody »Merkury«. Słodowiec, i chwila — Bielany. Kępa drzew, a w niej białe mury świecą. Krzyż, szkapy kozackie, tłum ludzi, w kościele pieśń jęczy podniebna:

— Przed Twe ołtarze...

Spiż głosów męskich i kobiece dzwonki, a pieśń jako fala, zda się, że kłębi, w górę wynosi i grozi, to znów zwolna opada, rzewną skargą boleje.

Rozczula się człek stary, pamiętliwy. Drżącym głosem podchwytuje nutę, radby komuś z uczuć się zwierzyć.

— Pięknie śpiewają... co — panie starszy?

— U was tylko bezporządek i śpiewy, ot co w waszej głowie.

Pod murem kościelnym kudłate dziady, baby powiązane w łachmany, pół nagie dzieci, z mroków piwnicznych, wywiedzione na słońce.

— Panulki, panuleczki... łosierne, choć grosik kalece! — wysokim ostrym głosem ślepiec wyciąga, a obok, bez rąk, bez nóg, huczy kadłub ludzki.

— Ho-ho-o, Matko Boska! ho-ho-o, Panno Święta! tera i w godzinę śmierci... ho-ho-o... Przyjdź, Panie Święty...

— Pannuncie pięknusie, godne panowie, szlachetne przechodnie osoby, wspomóżcie, przez nogów, ubogiego dziadka.

Babcia szuka w węzełku, grosz wydobyła, składa go w ciemną, spękaną, jak z kory dębowej, rękę żebraka.

— Do pocieszenia, zmówta.

I przystaje na chwilę, aby pocieszenia wysłuchać, bo — i »dziad dzisiaj niepewny, panoczku«.

Bielutki starowina, cały obwieszony sakwami, łapcie na nogach, w ręku kij sękaty, okuty, ze skórką jeżową. Patrzy stary wzgardliwie, z niechęcią, na zawodzącą zgraję żebraków i zeschłej, jak wiór leśny, staruszce się zwierza:

— Które są takie dziady dnia dzisiejszego, aż wątroba dojmuje. Pożal się Boże, jako jemu do dziada, co i kalectwo ma należyte, a mowa i rozum, na każdą przygodę, od Boga mu dane. Zaś tego czasu lada kiep, pokojowy wyciorek, co nie z Bożej łaski, a ze łba pijanego nogę, gdzie nie

potrza, wrazi, albo mu ta, przez Jezusowej wiedzy, gdzie palice przyskrzybną, jużci, wnetki, dziadem się głosi, ale gdzie jemu do dawnych, któren z dziada był dziad, przez samego Boga znaczony.

Do głuchej, mrugającej oczyma staruszki pochylił się i pokrzykuje jej w ucho:

— I sposobność na wszystko takiemu dziadowi jest dana, bo serce sercu nie para, a miłosierna żałość nie każde przejma porówno. Jednemu trza tak, a drugiemu inaczej, a inszy człek kwardy zupełnie, to i gęby szkoda do niego... A zdaleka-śta, dobra duszo, przybyli? — i trzęsie dziadek babinę, a ta tylko patrzy i oczyma mruga, aż wreszcie usta jej drgnęły i rozległ się szelest, jakby kto kupą zeschłych liści poruszył:

— Nie słyszę, królu kochany, nie słyszę...

— He? co powiadacie? ucho wiater mi przejął.

Ale oto w nawie kościoła zakołysał się tłum i spłynął, pstrobarwisty, na schody. Sypią się w kwietnej masie, kraśne i żółte chusty, kapelusze miastowe, pasiaste wełniaki, białe suknie dziewczyn z procesyi, podłużne i szerokie, ciemne plamy ludzkich postaci. Głowy na sztywnych karkach, jakby wbite w surduty, a inne kołyszące się z lekka, z szerokich kobiecych peleryn wyrosłe.

Dziad, z Bożej łaski, przygarbił się, zmalał i począł rzewnie, żałośliwie, ale ze starodawną, półdziadowską, pół-kaznodziejską godnością:

— Oto z dalekich stron przybywamy do Ciebie, Wiekuista Panno, Monarchini i Jasnej Góry Dziedziczko, doświadczona w Swej pieczy Opiekunko rozdawna, okryj nas panieńskim płaszczem Swej łaskawości, a miłosierdzia, i przejmij tym widokiem serca spaniałego państwa, które w urodzie, we złocie, między nędzarze schodzące, kwapi się oto...

Ale nikt jednak na niego nie zwraca uwagi. Sypią się grosze ślepcom wrzaskliwym, babom pijanym; dziad huczący zbiera żniwo prawdziwe, bo głośny.

A biały starowina precz mówi. O młodziankach w piecu ognistym, jako tam będącym ogień nie zaszkodził, ale owszem modlili się Panu. O Herodowem nad niewinnemi dziatkami okrucieństwie, i jako pan Jezus cztery tysiące siedmiorgiem chleba nakarmił — różności biblijne jako z sakwy trzęsie, wreszcie już grozi: o zabiciu królów Goga i Magoga, do których ścierwów zbieży się zwierz — prawi, o faryzeuszach, o pomście piekielnej, lecz mija go państwo wspaniałe, zimne, nierychliwe, a żebractwo wzgardliwie ku niemu spogląda.

Dziad jesteś, więc proś jako dziady.

Opustoszał kościołek, zasnęli nad puszkami skarbnicy, składa woskowe vota babina i wzdycha, na ludzką niewiarę, na złe czasy narzeka. Na scho-

dach jeden człek tylko pozostał, człek dziwny, niewidziany zdawna.

Zgrzebne na nim okrycie, z wysokim kapturem, sznur węzłowaty wokoło i tyka w ręku, a na niej szmatka z czarnym napisem: »Pokuta!«

Co zrobił, czem zgrzeszył, próżno dociekać, bo nic nie mówi twarz zimna, surowa. Zastygł bez ruchu, a trwa tak już od świtu, i mówią, że trzy dni i trzy noce na tem miejscu zostanie. Nie pojmują go ludzie, a każdy bacznie ogląda, niejeden nawet palcem dotknie kaptura. Dziw im pokuta, — dziw takie zjawisko.

— Komedje będzie pokazywał, czy co?

— Ej, ludzie, nie wierzta. Inszy zgrzebną koszulą okryty, a w sercu ma zdradę.

Zasłane leśne polany. Towarzystwa, rodziny. Ojcowie napojeni, i jadłem znękani, mamy ociężałe, senne. Szczebioczą panienki: przy jednej z nich cyklista o sile swej prawi. Wątłe, w kratkę, łydeczki rozstawił szeroko, rękę zgiął w łokciu i dziewczę zachęca:

— Pani będzie tak łaskawa i dotknie.

— Ach, nie! Ja się boję, bo to strasznie jest twarde.

— Owa!... Jaka bojąca — drwi pan Ignacy, z kompanii opodal. Towarzyszkę wpół objął, ta uniosła perkali, i tańczą, aż darń leci w powietrze.

— A tera na huśty. Nie boi się panna?

— Ja się ta niczego od pana Ignaca nie boję.

— Niczego?

— Owa... I czemże pan straszy?

Idą »na huśty«. Sznur skrzypi, waży się deska — nic panna Maryanna.

— A tera co pannie do szczęścia?

— Tera zjadłabym schabu.

— Panorama, panorama, panowie! Z jedny strony religijne, a z drugi słoneczne obrazy. Dla inteligencyi, panowie! — krzyczy człek wystrzępiony, w ozdobnym krawacie i afisze podaje.

»Chrystus na guże oliwny«.

»Skubelew jenerał«.

»Karnawał na lodzie i w piekle«.

»Polskie Królowie, malowane potrety«.

— Lemoniada cytrynowa, słodzona, panowie!

— Parrówki parrowe!

— Dla inteligencyi panowie! Zachód szwajcarski. Kawalerya piekielna. Walka z białym niedźwiedziem. Pielgrzymka do Ziemi świętej.

— Masz... Trzymaj! — W twarz nagle ktoś dostał, zakłębiło się w piachu, i przewalają dwie ciemne postacie.

— Partya! panowie!

— Nu, i naród wy, naród. A jeszcze awtonomii zachcieli.

Obwarzanki, szkaplerze, kubki, dzbanuszki, a na nich napisy: pamiątka dla Józi, dla Wandzi; pamiątka z Woli, Buska, Ciechocinka. Pięknie złocone i szczerze różowe, na nich kwiatuszki.

— Po czemu?

— Po pięćdziesiąt, jak oko.

— Zdziebko przydrogo, ale dla kumowej córuchny-bym wzięła. Po zrękowinach dziewucha. Ale żeby ino było rzetelnie z nadpisem, żeby dla Ulichny stojało, jak w książce.

— Jest dla Ulichny... Właśnie ostatni. Ma pani szczęście.

— Tak, tak... — i sięga babina po węzełek w zanadrzu. — Sześć czeskich nie będzie?

— Po pięćdziesiąt, jak oko.

— Niechby czterdziestka.

— Bierzeta, matka, czy nie?

— A niechta i już. Bedzie miała córuchna uciechę. — I unosi starowina dla Ulichny, oblubienicy — z Buska pamiątkę — dla Władzi.

Słońce ku zachodowi już schodzi. Na Bielanach gwar rośnie, u pani Bochenkowej aż huczy, chwieje się karuzel, a na huśtawkach wysoko, coraz szerzej, rozwiewają falbany, coraz szczersze brzmią wyznania miłosne, a choć ludek ma wszystkiego do gustu, do woli, nie w smak mu jakoś zabawa.

— Hej, to nie dawne Bielany!

Myśl do przeszłości się kłoni, snuje obrazy, o białych ojcach kamedulskiego zakonu, o królu pobożnym, co tutaj pustelników osiedlił, na pamiątkę wojny z Moskwą szczęśliwej. Idziesz ku ich dawnym mieszkaniom, jakiś człek stary cię wita, objaśnia:

— Tu, panoczku, mieszkali; tu każdy miał klitkę. Sprawiedliwe księdze to byli.

— Tak, tak.

— Trzech ich ino ostało: ojcowie, Marczewski, Nawelski, Żegarski. Boleśnie było im tutaj, do przytułku poszli na Dzielną.

— A dawne mieszkania?

— A wej: Koniuch Aleksiej, po ojcu Floryanie, po drugim Taras Stepanow...

Nietrwałą pamiątkę król Władysław zostawił.

BIAŁA NĘDZA

Po zimowej trosce, po chłodzie nędzarzy i zabawach możnych, po pierwszych blaskach słońca bladego i nadziei ciepła dni szczęśliwych, po cudnym wiosennym wieczorze, wypadł śnieg gęsty, puszysty i pokrył pola bezbrzeżną białością.

W białości tej szarzały czerwonawe krze i jakby we mgły spowite szerokie grusze, w dali pas blady, niebieski, nad nim pustka przezrocza, a w strzępach obłoków nieśmiałe słońce. Do słońca wzbijały się małe, szare ptaki, a rozpoczynając wiosenną pieśń swoją, urywały ją szybko; uciekały przed chłodem w granice zabudowań wiejskich, gdzie zbite w gromadkę, napuszone, siedziały bez ruchu.

Szare ptaki przyleciały pierwsze ze stron dalekich, przyleciały od gorących blasków na szarą ziemię swoją; w nadziei ciepła, radości, dostatku, zastały śnieg biały, — ponurą żałobę.

Głód i śmierć — dwie najpotężniejsze siły przyrody, to straszne rodzeństwo, czyha w tej bieli bez kresu; najprzód głód zmęczy, a potem jego siostrzyca ofiarę otuli.

Siny tuman kotłuje nad polem, wspina się na krzaki i drzewa, szarpie niemi, potrząsa, aż porwie życie, ciśnie o białą płaszczyznę i pokryje chłodnym całunem, do jutra — do wiosny.

Na chwilę ukaże się słońce i pośle blady promień w stronę szarego stworzenia. Przecie to on niepozorny, jakby pyłem pokryty, podlatywał do jego złotej, jaśniejącej tarczy i słał w przestrzeń bezmierną, pieśni natchnienia.

Poruszy się śpiewak-artysta, już drętwiejący, toż przecie słońce ukochane życie mu wróci, wszak on tylko dla słońca żyć pragnie, jemu śpiewać jedynie, a nie swoim współbraciom, tej zgrai ćwierkających wróbli, co zawsze syte, i śpiewają — także. Zawsze wesołe, zawsze rozbawione, z ptaków najbezczelniejsze, nigdy czułe na cudze cierpienie, o dobrą dolę zawsze zazdrosne. Czekają słońca i one, a wierzą, że przyjść musi, bo ono jest przez nich i dla nich.

A że umarł śpiewak z chłodu i niedoli, pocóż taki wrażliwy, a dumny i do praw wróblich nagiąć się nie chciał... Umarł ten, ale znajdzie się wnet drugi, boć nie zbraknie próżniaczej hołoty cygańskiej! — nie zbraknie, póki my, wróble, żyć im pozwolimy.

— Ćwir, — ćwir, — dosyć poezyi, — niewydajnej pracy.

*
* *

Pod wysoką warstwą śniegu na łące, kryją się skarby przyszłego pożywienia, i lada dzień, kiedy słońce zwycięży tę śmierć białą, rzeczka śniegi zabierze, a ziemia wody wypije, rozpocznie się tam życie i zabrzmią krzaki nadwodne pieściwymi głosami miłości. O zmroku zjawi się tam człowiek, i po rzewnem, szczerem uczuć rozśpiewaniu, pocznie ludzkiego kłamstwa nieskończoną historyę:

— Kochasz?

— Na życie całe...

Krótkie żywoty, — częste zmartwychwstania...

Dziś wonna, rozkoszna łąka nie drży życiem, nie brzmi śpiewną radością, tuli do swego chłodnego posłania zmartwiałe stworzenia, co wierzyć pragną, że pod tym chłodem pustki, głodu i śmierci, bije życiem wezbrane serce dobrej opiekunki.

Lada dzień, lada świt, zabłyśnie ona w szczodrej swej krasie, ukwiecona cudnych barw bogactwem, i jak piękna, hojna pani rozdzieli pożywienie, znajdzie schroniska dla tych biedaków, garnących się dziś do niej, zdrętwiałych od chłodu, w przededniu godów miłosnej pieszczoty, śpiewu, blasków, użycia.

Pracują gromadki kuropatw, odgarniając szybkimi, jakby rozpaczliwymi ruchami śnieg nienawistny. Tam, pod spodem, pewno nic niema, może jednak coś się już pokazało, przecie czas na to.

Może wątły pierwiosnek, czy liść przegniły, — my przecież naprawdę umieramy z głodu.

Obok stoi nieruchomy bocian, — ptak-patryota nieposzlakowanej opinii, stoi i przygląda się tej pracy, co daje ruch i zaostrza apetyt. Przechylił głowę, strzepnął skrzydłami, rozmyśla:

— Dziwnie ciasne mózgi mają te stworzenia: szukają czegoś pod śniegiem; nic dziwnego, że marnieje ta banda darmozjadów. A przecież tyle pożywienia na tym pięknym świecie, są już młodziutkie zające, ryby łapać też można, a gdy się zażywa dobrej opinii, to wreszcie i chłop każdy coś do jedzenia wyrzuci.

Chłopi są bardzo poczciwi ludziska; z wiosną hodują doskonałe kurczęta i małe, żółte kaczki Dobrze i ładnie jest na tej ziemi, lecz żyć należy w bojaźni, pokorze, na opinii bez skazy... oj, głupie ptaszyska!...

Gdzieś z wysokości spadł w stadko bury, skrzydlaty rozbójnik, porwał w ostre szpony kuropatwę, a patrzał żarłocznie na inne, jakby żałował, że wszystkich zabić nie może. One ogłupiałe, nie pojmujące, że ktoś może zabierać życie, nawet wśród tej biednej zgłodzonej rzeszy, wcisnęły głowy w śnieg, wierząc, że ujdą okrutnego wzroku. Bezlitośny oprawca poskoczył z łupem na wyniosły kamień i szarpał ciepłą, drgającą ofiarę. Wzdrygnął się

bocian, na cudzy mord patrzeć nie lubi, współczuciem odezwało się serce:

— Bądźcie mężne w nieszczęściu, którzy cierpią, błogosławieni.

Uderzył w szerokie skrzydła i sunął ku wysokiej topoli, na której ciemniało szanowane przez ludzi gniazdo. Niezgrabnie wyciągając nogi, opuścił się na nie i już z wysokości spoglądał.

U drzwi blizkiej chałupy zapiszczał głosik dziecięcy:

— Matulu, bociek psyleciał.

— Kaj bociek? Cyganis...

— Wej, białe na topoli.

— A... Psyleciał nieboraczek. Psyleciałeś ptasku do nas.

— Na chleb suchy, lecz do was, na chleb drogiej polskiej ziemicy. Klak — klak!

*
* *

Padł zmrok i cieniem niebieskawym śniegi otulił. Wyżej, ostrymi obrysami odcinały się drzewa, pod korony owinięte troskliwie słomą, ustawione rzędem, nad ciemnym pasem umiecionej drogi. Z okien dworku jakby zatopionego w sadzie płynął ciepły blask złotoczerwony i słał blade promienie na śnieg skrzący.

Szedł człowiek i głosem ciężkiej zgryzoty mówił do swej towarzyszki:

4*

— Zające znów dwie jabłonki ogryzły. Wiesz, te karłowe *Cardinal'*e.

— Co za szkoda, ale cóż robić? One biedne i głodne; śnieg taki niespodziany.

— Głodne? Niech jedzą co innego.

— No tak, ale — co?

Człowiek nie odpowiadał, aż wkońcu mruknął:

— Niech sobie wreszcie objadają gdzieindziej, dlaczego u mnie?...

— No tak, to prawda... — i tuliła się do niego wdzięczna, kochająca.

— Tyś taki dobry; rozumiesz, że każde stworzenie może być głodne i nieszczęśliwe.

On słuchał tych słów, rad, że pozwolił zającom ogryzać drzewa u sąsiadów. U wszystkich naokoło.

Na niebo spłynęła już nocna szarość, lecz od śniegu szło światło, a w niem krze ciemne zamarły. Cisza unosiła się ponad skrzącą płaszczyzną głodu i samolubstwa.

Od pola szybko mignął cień jakiś i nagle przystanął, znowu się poruszył, i jakby osłupiał, poskoczył i zastygł bez ruchu. Ucieleśniona trwoga — zając. Na tylnych łapkach stał i głowę zwracał, strzygąc uszami. Nie widział wiele, — nasłuchiwał.

Przypadł nagle do ziemi, a podskakując z wygiętym grzbietem dotykał pyszczkiem każdego przedmiotu. Chwycił kęs drzewa i próbował je zjeść, nie było tam treści, podniósł żdźbło słomy,

potem sznura kawałek, gałgan zbutwiały. Głodny był zając.

Ale co chwila wspinał się zlekka i słuchał. Lube mu życie.

Podczas tego z okien jaśniejącego ciepłem dworku biegł szept tłumiony

— Jest, jest, proszę pana!...

— Gdzie? Nie widzę...

— Ady jest — za tą kupką na lewo, przy drzewinie, ady się rucha. O — rucha się...

— To czarne?

— A ino... Za kupką, za kotyrą — ady kica...

Z okna strzał błysnął, grzmot uderzył w budynki folwarczne, nim przebrzmiał, podniosła się wrzawa:

— Łapaj, trzymaj! Uciko..

— Ino się wlece — trzymaj!

Wypadła służba ze strzelbami, z kijami, psy puściły się w pole, dzwonił krzyk ludzi, psi jazgot.

Za chwilę zjawił się człowiek, — stróż nocny, niosąc w ręku zająca.

— Jaśnie pan krzyże mu przetrącił, byłby i zbiegł może, alem go dognał. — Dumny rzucił go o ziemię i zaśmiał się:

— A, widzis... Nie ogryzaj drzewków, złodzieju!

Żałował mu suchej kory, bo myślał o jabłkach, które sam kradł jesienią.

Podchodzili ludzie i oglądali zająca; dotykali

krzyża, podnosili go za skoki, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Sielny kot... Kot bo kot...

Zbliżył się ktoś ze służby i zauważył:

— Ady samica — ady-y... O, — jaśnie panie, — i targał twardą garścią białe, jedwabiste podbrzusze.

Jaśnie pan skrzywił się nieco:

— Szkoda!...

— Dobry, kochany mój... — tuliła się do niego, — on zaś dodał po chwili:

— Niechby podrosły, byłbym marczaki wytłukł jesienią, — i białą jasną panią utulił, rad z siebie, najokrutniejszy z drapieżników, im mniej głodny, tem chciwszy na mord.

NA WIECU

Łódź. Sala teatralna. Tłum ludzi, głowa przy głowie. Czapy baranie nasunięte głęboko, tu i ówdzie maciejówka na bakier, szmatą twarz przewiązana. Czarno, szaro i — smutno. Ani jednego uśmiechu, ani śladu żywej barwy, ani blasku, ani rumieńca. Szmer tysiąca głosów, oderwane wyrazy: lokaut... partya... Poznański...

Nad tłumem zawieszony obłok pyłu, w nim wyziewy płuc ludzkich, mdły zapach okowity się błąka, a wyżej, u lóż, gdzieniegdzie migoce brzeg pozłacany gzymsu. U szczytu żyrandol skrzy tysiącem odblasków, jakby tysiąc wbił oczu w ten tłum obcy dla niego, nie żądny widowisk, tylko głodny tłum.

A wyżej... — Jest Bóg... jest Bóg, — wskazuje trzęsącą się ręką staruszka — i On tylko może to nieszczęście odwrócić.

— A śmiejże się matka z tego! Pan Bóg z naszą partyą nie trzyma, bo pan.

— Jest Bóg... Jest Bóg... On jeden... — upiera się stara.

— Lokaut... partya... Poznański...
I — psiakrew!

*
* *

Na scenie dźwięknął dzwonek, jednocześnie ktoś się odezwał:

— Pan Cierpisz ma głos.

Dreszcz idzie, bo chwila, a popłyną słowa szczere, serdeczne, proste, a mocne jak głód. Z teatralnej sceny zagrzmią wyrazy żalu i pomsty, nie te ułożone misternie, a potem ciśnięte siłą techniki, wyćwiczonego aktora w tłum syty i strojny, lecz dzisiaj, za chwilę, przemówi do bolu ból, tak, jak się w duszy urodził i z duszy wydarł na usta, bez formy, bez kunsztów literacko-aktorskich, a tak uzmysłowiony, jak rana rozwarta, krwawiąca, niemowna.

Dreszcz idzie... Odezwał się mówca:

— Więc oto, szanowne towarzysze i towarzyszki, zebraliśmy się oto w tem miejscu zebranem, niby za krzywdy nam wyświadczone, jak oto ten filar, popchnięty w odmęty naszych jęków i nędzy, chtóre są powstające wraz z widmem głodu i ekonomicznem porozumieniem, aby pomówić w tej chwestyi, jakie ma być postanowienie, czyli rezolucya. I oto dziś, jak ta łódka, jeszcze niewiadoma, czy w tę stronę obróci, czyli w tamtą, ale stoimy niezłomnie w każdem porozumieniu i w każdem względzie...

Przykro, — bo źle mówi pan Cierpisz — o głodzie, lecz dziw oto, że po ukończonej przemowie, wzruszenie ogarnia zebranych, i odzywają się szepty:

— Co? Gada?

— Hej, hej, złota u Cierpisza gęba.

— Ale, niby co?

— Co niby?

— Jakże ma być? ostaniemy przy strajku, czy zgoda?

— Ano, niewiadomo, bo na dwoje prawił.

— Więc niby?

— Ano, słuchajta, co nam drugi powie. Ten jeszcze mowniejszy.

I huczy już głos drugi:

— Wiadomo panowie, czyli towarzysze, że póki góra stoi to stoi, a jak nie ustoi to runie, a my wszyscy pogrzebani we krwi i jęku, jak te Filistyny bezdomne...

Brawo! — po mowie, lecz znów w tłumie niespokojne pytanie:

— Więc niby co?

— Ano słuchajta... Warto posłuchać.

Wzrok błądzi po sali. Same twarze znajome: twarze, na których bieda odcisnęła swe piętno, upodobniła je wszystkie. Ten czarny, zarosły, ów jasny jak len, inny ciemny jak noc, tamten pogodny, ale wszędzie to samo znużenie, smutek, co już przywarł na zawsze, i ta dziwna bladość, osobli-

wej barwy na twarzach kobiecych, jakiej nie da żadne, zaszczepione przez życie cierpienie, tylko nędza w suterenach wyhodować potrafi.

Ogrodniczka z niej dzielna; gdy już oczy białością ucieszy, wtedy rumieńcem kwiat wątły zabarwi, i aż dziwno majstrom fabrycznym, że tak nagle wypiękniała dziewczyna. I codzień piękniejsza i już roi i marzy, aż pewnego poranku:

— Krew z niej buchła... nie męczyła się długo — z warsztatów ktoś powie, i zmilknie, bo co tu mówić o śmierci, kiedy straszniejsza troska o życie.

Sami starzy znajomi na sali. Ten o ścianę oparty, chłop krzepki, szeroki — hej! z tym nędza miała robotę, nim pokrzywiła moc w barach... ten mógłby wiele powiedzieć, lecz milczy.

Albo ten jasny jak złoto, oczy mu się śmieją, i rozum mieć musi, ten swój, samorodny, z twardej doli poczęty, albo ta babina w chuście żółtawej z szafirowym brzegiem: wszystkie bole i troski już przeszła, nic dla niej nowego, ta nie z teatru zna życie, i poruszyłaby żony i matki, gdyby zechciała opowiedzieć historyę miodowych miesięcy, a potem jak w dzień porodu skopano ją, zbito, bo właśnie w domu był głód i chłop podpił z żałości. Ale — gadanie, co wiater nie nadzieje tem kiszki.

I milczą ci najbiedniejsi, ci, co do powiedzenia mają najwięcej, a mówić wprost nie śmieją.

— Bo jakże? Trza przecież wielkiego rozumu do takiego gadania. Trza sobie wyrazy, co lepsze, z gazetów wypisać, a potem jak skleić? Hej, panie, głowy na to potrzeba, głowy.

— Można przecie i z prosta, co boli, w czem krzywda.

— Ktoby tam słuchał prostego gadania!

A na mównicy precz prawią, ale tłum ciągle nie wie, czy uledz, czy trwać, aż wreszcie głos dziwny się ozwał. Nie z bolów, nie z krwi, nie z głodu, bo poco? Toć robotnik nie mokra szmata, z której łzy się wyciska, on pan, on siła, a gdy czarną dłonią jasne złoto wam rzuca, nie potrzebuje on łaski... I nic, towarzysze, będziem się zmagać do ostatniej kropli, aż zwyciężymy, a kto nie chce, kto słabszy — niech zdycha.

Dobrze czy źle, lecz mocno i szczerze, to też zakołysał się tłum, zahuczał, ale gdy ścichły głosy od serca, rozum krytyczny wziął górę.

— Powiedział, co wiedział... Ale do tego mądrej głowy nie trzeba, co i dziecko zrozumie.

* * *

Koniec narady. Ciżba wypełniła przedsionki teatralne. Czapy baranie, pod niemi zasępione twarze, nawet pod junacką maciejówką ta sama ponura zaduma. Nad tłumami gdzieniegdzie stal bagnetów

błyska, migocze, jak gwiazdka, symbol nadziei — ostrze świeżo toczone.

Ulica, gromadki, jedni do domów familijnych na lewo, drudzy do miasta, a inni kupą się zbili. Rewirowy zaleca porządek, bo nic bez porządku.

Stoi gromadka jak mur, nikt uwagi nie zwraca, nie słyszy.

— Da, prawo... My na głód nic nie możem, a bezporządek gorszy od głodu, i ja wam z sierdca dobrego rozejść się życzę.

— Jeść! — z gromady ktoś wrzasnął. — Jeść! — warknęło sto głosów.

Jak koń, gdy nagle się spłoszy, cisnął się w bok, opodal schyliły się w pół ciała bagnety.

Pod murem teatru, zawinięta w chustę i szmaty babina. Pół uśmiechu, pół bólu, zamarło na jej twarzy pożółkłej. Przed siebie utkwiła siwe, okrągłe oczy, zgasłe stare oczy, których nawet już blask łez nie rozjaśnia.

Obok niej jeden »z naszych utalentowanych«, że to na aktualną powieść przyjął zamówienie, życiowych dokumentów szuka.

— Jakże, pani kochana... Coście uradzili na wiecu?

Stara mruga oczyma i zwolna, cichym, złamanym głosem odpowiada gdzieś w przestrzeń, nie patrząc na niego:

— Dziecko, panie, mi zmarzło.

— No, ale cóż uradzili?

— Ostała w domu wesoła i śmiejąca, a przyszlim pod wieczór: leży twardo jak drewko.

— No, ale cóż związki, partye? Cóż uradzili? Patrzy w przestrzeń nieruchomemi oczyma babina, drżą tylko jej usta, do których przywarł uśmiech i ból:

— Dziecko, panie, mi zmarzło.

Proste, rzewne słowo, — leć.

WARSZAWSKIE DERBY

W kierunku mojej namydlonej twarzy człek, woniejący piżmem i pomadą, uczynił ruch pięknie okrągły, i począł golenia obrządek.

— Pan dobrodziej, na wyścigi?

— Tak, panie, na wyścigi.

— Hm... tego... Co łaskawy pan myśli o Łazarewie? — i człek woniejący począł snuć długą, zawiłą genealogię, kto kogo urodził, jaki był dziad, jaka była babka.

— Cóż to były za piersi, panie... Noga, budowa, a temperament... Po trzysta rubli, panie, w Moskwie płaciła, niepozorna taka. Ale daleko do niej takiej Wnuczce Web.

— O kim właściwie pan mówi?

— O kimże, jak nie o babce, — cud była szkapa...

Do ucha mi się pochylił i szepnął:

— I »Ugolino« — pewniak murowany, panie, jakem Nowicki. Całą twarz skropić, pan życzy? — lecz nagle na zegarek spojrzał:

— Czwarta dochodzi, pan zatem wybaczy, ale

czas na mnie. Władysław, wykończ pana dobrodzieja.

Krokiem menueta sunął pan Władysław, tchnął na mnie pyłem rzeźwiącym, a gdy za gospodarzem drzwi się zamknęły, wdzięcznie przegięty, miękkim, jak pędzel do golenia, głosem mówił powoli, jakby się dźwiękami lubował:

— Stary główkę panu szanownemu z jakąś Ugoliną zawraca. Toć każdy widzi, że koń jedzie na gapę, a Uzda bierze wyścig musowo. Jakem Kwiatkowski, i jak panu dobrodziejowi i sobie, dobrze ja życzę. Może podfryzować cokolwiek?

I grzbiet zaokrąglił, niby znak zapytania, i okiem mrugnął:

— Z ładną kobietą widziałem wczoraj pana dobrodzieja na Chmielnej. Pierwszej klasy kobieta... Rozdział bliżej środka pan szanowny pozwoli?

A już przy wyjściu, pachołek do pieczy nad cudzem ochędóstwem powołany, spoglądając do drugiego pokoju, za szafę, gdzie pan Władysław gładził pieściwie sak jasno-kawowy, szeptał mi tajemniczo, z pośpiechem:

— Oba one, są z pozwolenia pańskiego frajery, bo ani Uzda, ani ten drugi nie skóra, a ja »pod kozakiem« słyszał, jak się żokieje zmawiały, że Teresa Rakę niechybnie, i za Teresą ostatni grosz, proszę pana.

— Więc także na wyścigi idziecie?

— A jakże... Buda się zamyka i stara tylko zostaje, ale jej nudno nie będzie. Ubeczy się babsko należycie, bo niech tylko wyścigi, a Nowicki ostatni grosz niesie, to ci bek taki, bo to i ona i głodne bachory, że tylko z domu uciekaj.

— To tak gra pan Nowicki?

— A nie grałby to? A któż czasu dzisiejszego gra, jak nie fryzyjer?... Okrutnie one do grania zajadłe... Szanowanie dla pana.

* * *

Derby warszawskie! Tak się nazywa, a odmienia się, jak wszystkie rzeczowniki, mające w końcówce erby i ęby:

— Na derbach dzisiejszych...

— Kudy nam do derbów prawdziwych...

— Kombinacya, granda z jeich derbami, — już u samego wejścia dobiegają prawie polskie urywane słowa wśród wielojęzycznej publiczności.

Ale jakże owe *derby* wygląda?

Tłum szary, ubogi. Dziwnie ubogi. Przygnębione twarze i troski jakieś siadły na czoła. Nie na zabawę sączy się ludek przez szeroką aleję, i nie cała Warszawa to, na wyścigi wyległa, szumna, śmiejąca się.

Pięć, osiem zmiętych pań, utrzymujących się z miłości bliźniego, dwie złotowłose, różozdobne primadonny w bieli, zimne mundury, policji kilku-

nastu chudych dragonów, jacyś panowie o wytartych twarzach, w ubraniach bez skazy, i szatki wytarte, a książęcy gest, wypłowiała na wyścigowych torach hrabina, z rzadka, towarzystwa panie, coś jakby flirt, ale nuda, bo dowcip leniwy, a pozatem parę tysięcy ludzi, jakby nimi splunęła Warszawa. Nie ujrzysz ich nigdzie: poza »Sielanką«, czy »Japonią«, o świcie. Nikt ich nie zna, pozornie, nikt się z nimi nie wita, a i oni, choć wspólnemi sprawami związani, gardzą sobą wzajemnie.

Co zacz ci panowie, z czego żyją, czyje przegrywają pieniądze, wielkich miast tajemnica, i —

— *Nasze eto dieło.*

A mnożny gatunek, bo urósł, dziesięćkroć przez lata ostatnie...

Wloką się ludzie. Nie obchodzi ich koń, nie obchodzą towarzystwa cele, zarodowe stajnie, które od lat dać obiecują wymarzonego rumaka krajowi na chwałę, — i wloką się leniwie, zda się, bezmyślnie, aż nagle drgnie dusza tłumu, zawiść serce poruszy, gdy »fuks« mety dopadnie. I znów tłum pozornie zamiera, jak człowiek, co go toczy ból skryty, i nic wokoło siebie nie widzi, nie czuje, prócz własnej zgryzoty.

— Przeczuć, i wygrać... — drżą w nim wszystkie nerwy, i kotłuje się myśl.

A samo *derby* — treść, serce wyścigów?

Cztery szkapy kupą się zwarły od startu i gnają.

— »Uzda«!! »Teressa«!! i bravo Łazarew!

Bez niespodzianki, bez wrażeń. Nikt nawet karku nie skręcił, koń nogi nie złamał, a totalizator za faworyta płaci niewiele.

— Żebyś ręce i nogi... — klnie »Uzdę« pan Nowicki ze Złotej.

— Niech cię śmierć nagła... — pan Władysław życzeń dopełnia, lecz pod adresem gospodarza, który go do spółki na pewnego Ugolina powołał.

— Rety, oj rety! — toć mi trza było we francuskim... — jęczy wierny Teresie pachołek.

Na twarzach uśmiech wzgardliwy, na innych niepokój, rozpacz ściska serce niejedno, lecz wnet dobra nadzieja, troski i żale ozłoci, gdy konie ruszą od startu.

— Pewna »Formoza«!

Ale wziął »Żart«. Wiele łez prawdziwego bólu wycisnął. Nikt jednak na torze nie płacze, od tego są żony — wyrobnice, w domu.

Smutne, szare wyścigi. Chłodne w kolorze trybuny. Nic wesołego, nic różowego, prócz »naszych dramatycznych«

O PIEŚNIARZU I MUZIE

W poddasznej klitce, przerobionej, przy zastosowaniu drabiny, na »pokój z oddzielnem wejściem«, mieszkał człek chudy, mizerny, zawsze głodny, jak Indus. Niby polski strach na wróble odziany, wolny od potrzeb ogólno-ludzkich, z trosk się wyzwolił. Człek ów zwał się — szczęśliwy, bo do pracy nie zdolny, nie znał upodlenia i kłamstw. Poetą był. »Waryjot z piątaka« — mawiał o nim plebs podwórzowy, określenie — »ten idyota« przyrosło do niego, jako spostrzeżenie inteligencyi, »cenik« — mówił o wieszczu ze wzgardliwym uśmiechem gospodarz, jako że był człowiek uczony, »boskim« zaś zwała go muza.

Posiadał bowiem muzę, niepodzielnie własną muzę, która, co dnia, stroiła mu złotostrunną lutnię i przynosiła z wyżyn ducha natchnienie, a niekiedy bułki ze sklepiku na dole, lubo częściej wódkę ze składu. Poeta, jako nadczłowiek, kochał zwiewne nastroje, do których szary, nikczemny, pełzający duch ludzki, ohydny w zimnej trzeźwości,

wznieść się nie mocen. I pierała mu szatki nieochędożne, bo do wszystkiego była to muza.

Para tych ludzi żyła ubogo. Ona karmiła się pieśnią i, jako istota nieziemska, była ze swego położenia zadowoloną, poecie jednak marzyły się niekiedy kryształowe pałace, srebrzystych wód tafle, sezamowe groty, odaliski cudne. I śniła mu się sława. Ubogim był człowiekiem, a jak dalekim był od niej, rozumiał, gdy zaś tak nad znikomością swych pieśni rozmyślał, razu pewnego postanowił życie zakończyć.

I nie dlatego wcale, by nieszczęśliwym się czuł, boć przecie szczęście tylko jeden talent dać w stanie, lecz ot — zbrzydło mu życie, bo brzydkie... Bo ludzie...

Uknuł wtedy podstęp prosty, naiwny, bo w tej duszy dziecięcej trudno było kłamstwu się ostać: na jasnem czole włos nietrefiony rozrzucił i do muzy jękliwym ozwał się głosem:

— Jakaś słabość na piersi mi padła, idź do redakcyi, boginko, i przynieś mi rubla.

Zamigotały dwa cudne brylanty w muzy źrenicach, cicha uległa, włożyła zniszczone sandałki, wietrzny nadpłaszczyk i poszła szybkim krokiem, jakim chodzą uczciwe kobiety, w dziurawych bucikach, po błocie.

Główny herszt redakcyi wczoraj powstałego dziennika, gdzie »głoszono promienne cele walki

o pracę i pognębienie padalców ciemnego wyzysku«, przyjął ją bardzo łaskawie, dwa złote jej dał. Zadowolona z tak rzadko pomyślnej wyprawy, powróciła jaśniejąca i śpiewna.

— Gdzie płomień domu naszego, gdzie wieszcz złotousty?

— Niby kto taki? Waryjot? — wzgardliwie zmierzyła ją żona stróżowa.

— Gdzież on, gdzie śpiewak mój boski?

— Swojego tu już panna nic nie masz, bo wzion spakował wszystko w poszewkę, i poleciał.

— Dokąd się zwrócił niedościgły?

— Oj, ścigły, ścigły, nawet się u rządcego nie wymeldował, ino ucik, a za pomięszkanie ostaliśta winne.

Przygięły się pod muzą kolana.

— Gdzież ja się teraz obrócę?

— A widzi panna. Tera to bek, a z chłopem siedzieć na wiarę, to śmiech. Czy to ładnie daremny chleb jeść?

— Ja nie darmo. Jam lutnię mu stroiła i śpiewała pieśni.

— Głupiaś panna i oto. A chłopu nawet takiemu niezdarze — a i to wierzyć nie trza.

Muza poczęła szlochać tak tkliwie, a tak melodyjnie, że poruszyła serce bezlitośnej stróżki.

— Jak ci to beczy delikatnie, jakby na armonii grał...

Zbliżyła się też do płaczącej i poczęła ją uspakajać:

— Nie płacz, biedoto, do roboty ci trza jakiej. W bony oto idź, albo do pokoju, czy do magazynu. Idź panna choćby naprzeciwko do szycia, zawsze i to kawałek chleba.

Zapłakana udała się do magazynu, gdzie ją zaraz otoczyły wesołe panny spódniczarki, staniczarki, podręczne, »zdatne« i »od dziurek«.

— U kogo była?

— Ja... mieszkałam z poetą.

— Ha, ha... U śmieciarza. Bieda z nędzą. A z którym? Czy nie na Marszałkowskiej? Z brodą czy bez?

— Poeta nie może być bez brody.

— Ach, głupia.

Zjawiła się właścicielka mód i konfekcyi, a dowiedziawszy się, z kimto mieszkała muza, dała ujście szlachetnemu oburzeniu.

— Jak panna możesz, jak panna śmiesz do uczciwego magazynu? U poety, powiada, i do mnie odważa się taka. U gołego poety — bezwstydnica jedna, kiecki nawet jak należy nie ma na sobie.

— A widzisz, nie bądź głupia, nie chodź z poetamy.

Cicho płacząc, odeszła. Nie mogła zrozumieć, za co ją prześladują. Co zrobiła złego? Przecież każdy poeta posiada muzę, co najmniej jedną. Łączy go z nią związek, święty, czysty.

Minęło dni parę, a w chwili, gdy muza wydała już całe dwa złote na kwiaty i pocztówki, znalazła się na ulicy, bo stróż nie wpuścił jej do mieszkania.

— Kołowate jakieś dziewczysko, — niechże se idzie.

Postanowiła tedy rządzić się własną roztropnością i odnaleźć koniecznie jakiegoś nowego poetę, gdyż była przekonaną, że męzki ród przeważnie z wieszczów się składa.

Właśnie mijał ją człowiek obdarty, pozostawiając za sobą smugę narodowo-demokratycznego zapachu, tak właściwego pijanym szewcom i złamanym geniuszom.

— Panie, - panie, — czy panu niepotrzebna jest muza?

Człowiek przystanął i spojrzał blademi oczyma.

— Muza? Idź panna do frybry. Ja... ślubną żonę mam.

Do młodego człowieka zbliżyła się po chwili:

— Panie... Jestem muza.

— Muza? Ano nie szkodzi. Gdzie pani mieszka?

— Na Olimpie mieszkałam, a potem...

Młody człowiek skinął na »gumy«.

— Jazda do Olimpu.

Zaklekotały podkowy.

Minął miesiąc, i oto pewnego wieczoru na jednej z sal restauracyjnych zjawiła się muza, strojna

w pstre jedwabie, włosy miała na żółto, a w oczach coś, jakby pogardę dla świata. Obok niej kantorzysta o wypłowiałej twarzy, w białym, jak śniegi alpejskie, kołnierzu, w kraty angielskiego ubrania sciśle zamknięty, bawił damę serca pustym, jak źródło myśli, dowcipem. Ze sceny popłynęła »pieśń o Jadwidze«, a smutnie głupi tłum radował się, wył.

Nagle muza zadrżała, spostrzegła bowiem dawnego swego poetę, siedzącego obok starszej damy, ubranej wykwintnie, bogato.

Wrażenie było silne, prawie krzyk wydarł się z piersi:

— On... On... Zdrajca. Ma inną muzę...

— Kto? Gdzie? — zaniepokoił się kantorzysta, ale wnet uśmiechnął się blado.

— Ach, ten niby poeta. Prywatny sekretarz starej hrabiny.

Dawna muza płonęła i bladła, wzrok utkwiła w poecie, aż zbiegły się ich oczy, odżyły cudne wspomnienia, zaczem, zwolna postacie uniosły, i już ku sobie szli.

— Bywaj, opłakany, serdeczny!

— Bywaj, życia jutrzenko!

I splotły się ich ręce. Ufni w dawną swą moc, wyszli dumni, wspaniali, a za nimi pospolita, brutalna pieśń biegła.

Gdy zmilkły jej echa, a w duszach rozśpiewały

się dawne kochania, tęsknoty i wstał i poryw talentu, co gniótł troski i chłód, z niedoli czerpał radość natchnienia, on pochylił się ku niej:

— Będziemy tworzyć i śpiewać... — lecz drgnął nagle poeta:

— Ale ty już muzą nie jesteś.

— A ty — czyż jesteś poetą? — z ust jej gorących szept spłynął.

. . . .

Po chwilach wspomnień, wymówkach, łzach żalu i tem słodszych upojeń miłosnych, w godzinie cudu płomiennego natchnienia, co pod pocałunkiem się rodzi, jak piorun, w myśl bije, moc twórczą zapala, — poeta pieśń stworzył.

A gdy żegnał już święte natchnienie, w odzyskanej muzie zaklęte, pochyliła mu główkę na piersi i zwisła pieszczotą znużona, a cudne jej ustka szepnęły, jak szepczą powojki w noce wiosenne:

— Ale ty... Ty mi, kotku... zapłacisz, bo widzisz, ja już taka głupia, jak wtedy, nie jestem.

. . . .

Niosła mu jeszcze lat wiele natchnienie i — płacił poeta, i — drogo sprzedawał »swych myśli przędze i swych uczuć kwiaty«, i rozumieli go ludzie, bo stał się krewną im duszą, z nimi i dla nich śmiał się, płakał, a gdy umarł poeta, kamie-

nicznik wzruszony, wedle własnego rękopisu, kazał wyryć w marmurze:

W tem domu
zamięszkiwał...

i t. d., jak to zwykle ludziom sławnym się pisze.

I tablicę cokolwiek na boku powiesił, żeby frontu nie zepsuć.

A muza, nazywa się Ludka, trwa nieśmiertelnie w udziałowej kawiarni, młodym pieśniarzom niesie natchnienie...

PO ZDROWIE

— Dokąd pani w tym roku?

— Ach, do Marienbadu zapewne, jak zawsze. A pani?

— Ja, na Helgoland, albo gdzie na Bretońskie wybrzeże.

A po tygodniu spotykają się panie — w Grodzisku.

— Cudownie!

— Wie pani, słów nie mam...

— Cudze chwalicie, swego nie znacie.

— Tak, tak.

I dobrze, bo cóżby robił nasz kmiotek zabiegliwy, który już od miesiąca izbę wyprzątnął do czysta, przed chałupą zasiadł, i ani mu w głowie praca na roli.

Wypatruje gości od miasta.

— Żebyś ino twardo ceny dotrzymał... — upomina go żona.

— Już ty się nie bój, Marychna, już ja ta rozumiem, jak z niemi trza gadać. Z samą gubernantką potrafię...

— A możeby ze dwa chojacki podle chałupska gdzie wściubić, bo letniki lubieją zielone.

I nocką chłopek ścina w dworskim zagaju chojaczki, bo czegóżby nie zrobił, poczciwy, byle letniemu państwu wygodzić.

Gotów do ofiar i sam dziedzic dobrodziej:

— Najpiękniejsze mieszkanko właśnie dla państwa. Cztery werandy, panie, tapety, a domek, sam w sobie, na wyłączny użytek. A nas, jakby nie było. Na stryszku, byle gdzie, jakoś się latko przepędzi, ale w dobrej komitywie, po sąsiedzku, zgodnie. A i żonisko, panie, też będzie rade; inteligencya pierwsza w powiecie, a tu rok okrągły człowieka nie widzi. Ludzie jesteśmy spokojni, a dzieci wody nie zamącą.

Ale biada ci, nieopatrzny, jeśli masz ludzi spokojnych nad głową, bo i tobie głośniej odezwać się nie wolno, a dziatki, wody nie mącące, bywają niekiedy tak dokuczliwe na lądzie, że chętniebyś je w pierwszej kałuży utopił.

Bo ty, luby letniku, jesteś jak zorza; wita cię wszędzie uśmiech przyjazny, szczęście idzie twym śladem, skoroś jednak już osiadł w mieszkaniu i za nie zapłacił, stajesz się dla otoczenia, jako noc jesienna, ponury, dręczący.

Przedtem jednak dba jeszcze o ciebie, o twoje przyszłe wygody, przedewszystkiem, uprzejmy pośrednik w wyszukaniu mieszkania. Zbiegał, powiada,

całą gubernię, i oto zadyszany, radosny, stoi przed tobą.

— Mam willę!... Ale to nie jest willa, to jest Łazienki, cały pałac jest! I państwo już tam zostaną, daj Boże, sto lat. Bo ani wilgocz, ani żadne bandyty, i za pół darmo, bo on jest jak waryat, co chce to wynająć.

— I gdzież to?

— Dwa kroki Wisła, pięcz kroki Świder... Las,— oj, — to jest las...

I siada zadyszany pośrednik, a taka radość promienieje z jego twarzy, jak gdyby odkrył jakieś ziemie nieznane, ty zaś dopytujesz się ciekawie o bliższe szczegóły.

— Co dużo gadać? Dwa kroki Wisła... Pan sobie idzie i złapie żywe ryby, pan się kąpie, pan pływa z łódką, pan jest ciągle na wodzie, jak okręt. A jak się pan znudzi, to idzie do lasu i zbiera trochę grzybki, albo chodzi z fuzyą, i złapie zające. Pan już rozumie, co warte takie mieszkanie, to prawdziwy skarb jest. I ja pana każę to brać; ja już nawet wyłożyłem zadatek.

Istotnie, las, woda, cena pół darmo, ale czyż jest na tej ziemi świetlana radość, bez zmroku? Słuchasz, rozważasz, ale oto z myśli wyłania się trwoga, i dzielisz wrażenie.

— No tak: dwa kroki Wisła... Więc w razie powodzi...

I — jakbyś warem w pośrednika chlusnął:

— Jakie powódź, jaka Wisła? Gdzie pańska willa, gdzie Wisła? Trzy wiorsty Wisła, jak może być powódź? Po co takie gadanie?

— Ale ja nie chcę letniego mieszkania bez wody... — kwili twoja małżonka.

— Jakie bez wody? — i pochyla się głowa brodata do ucha jejmości:

— Dwa kroki Wisła!... Na moje sumienie.

To, — o dwa kroki Wisła, spotyka cię co kroku, bo każde letnisko to raj w sobie zamknięty, i więcej niż raj, bo niema tam drzew wiadomości dobrego i złego, lecz niewzbronna grzeszna ciekawość i spożywanie wszystkich owoców, byle ci tylko ochoty, fantazyi i gotowizny starczyło. A jeśli tam, gdzie sufit przecieka, ściany grzybem porosły, z dymiącym piecem umartwienie, nocą znęca się owad rozmaity, a dniem ciągle na ciebie narzeka gospodarz, stróż, sąsiad, — toć czego jednak człek nie poświęci — dla zdrowia?

Suną też dniem, nocą brzemienne wagony, ronią po stacyach barwne kłęby ludzi. Podniecone mamy, i w trwodze, czy nie zapomniały czego; zadumane panienki, jakby coś pozostawiły w Warszawie, i po coś jadą na letnie, a w myślach już ważą, co lepsze; gromadki dzieci, a z niemi wędy, łuki, trąbki dźwiękliwe, jakieś patyki, statek rozmaity, nieokreślonego kształtu, niewiadomych użytków.

— Do czego to, proszę kawalera — pyta butnego chłopaczka cichy, zawiędły staruszek.

— Do grlania.

— A tamto?

— To jest muzykalny latawiec — odpowiada z dumą brat starszy.

— A to okrągłe?

— To jest bąk wodny. Ale ja mam jeszcze i flower, który strzela prawdziwemi kulami.

— A ja mam prlocę.

— A dokąd jadą panowie? — pyta z trwogą staruszek?

— Do Milanówka, p-szę pana.

— O Boże!...

Ciasno w wagonach, więc garną się ku sobie ludzie i gniotą. W duszach niepokój, rozognione twarze, na ustach krótkie zdania krzyżują się, w zatłoczonem przejściu.

— Ach, jakże gorąco!

— Ach, teraz bosobym chciała.

— Ach, łódka... Ach, w zeszłym roku...

— Nenufary, pamiętasz? Ciekawam, czy w tym roku przyjedzie...

— Mamusiu! czy zapakowana fioletowa matinka?

— Panie konduktorze, przecie to niemożliwe.

— Konduktor!

— Panie, na litość Boską, bo kto jeszcze zobaczy...

— Wyjmij paluszek z buzi, Józieczku.

— Panie konduktor!

— Konduktor!

— O, proszę pani, zagranicą zupełnie inne porządki.

— O tak, tak... Takbym chciała, żebyś całe życie tę rękę...

Włochy, Pruszków, Grodzisk. Kłębi się ludzka fala. Ten wraca, ta jedzie, a całują się wszyscy. Starsze panie długo, gorąco, zaciekle, wstydliwie młode mężatki, a tu i owdzie drży szczera ochota na ustach. Narzekania, przekleństwa, znów pocałunki, znów młode małżonki, i świeże, i ładne, aż ci się serce rwie... na letnie mieszkanie...

I trzeci dzwonek, i, — pisz do mnie, i, — rolety, Władeczku, i, — balii nie zapomnij, i, — tego kretonu, co wiesz, i, — żeby meble trzepała Jagusia, a — jakbyś ty coś takiego, jabym chyba umarła, nad wszystkie zaś głosy jęk rozpaczliwy, przyzywania żałosne:

— Konduktor! Panie konduktor!

Sapie, bucha kłębami maszyna, ciężko za nią się toczą twarde, nieugięte, szkoda, że nierozciągliwe, wagony, a w nich głowa przy głowie, serce przy sercu, uczuć tysiące, namiętności, pragnienia, troski, i śmiech, a hasło — po zdrowie.

Po zdrowie, bo człek lubi nie tylko drugich, lecz i siebie okłamać, i w tem życia wdzięk.

A może, i jednak — po zdrowie, bo trawić uczucia przez jesień i zimę, przy jednem ognisku, we dwoje, powiadają że nuda, a nuda — choroba.

Po zdrowie pani za miasto, dla zdrowia pan w mieście...

A szczęście za góry.

STARY PAN

Znużony, wyczerpany poszukiwaniem »czegoś stałego«, wracał codzień o zmroku do swego mieszkania, w lewej oficynie na czwartem, gdzie kawał siwego muru grodził go od świata, a wyżej mury fabryczne przysłaniały niebo.

W bramie witał go stróż, uchylając czapy baraniej, która dla innych jakby do łba przyrosła, jako że taki on dobry jak każdy.

— Minęli te caszy, kiedy każdemu trza było czapkować.

Cham z krwi i kości czuł pana, nie tego z fabryki, przykrą, nadętą figurę, którą zgoła bez przyjaźni, znosi się tylko, lecz tego szczerego, jakim się rodził — pana z pól, lasów i łąk. Od wieków zrosły się te dwie postacie, a nie-demokrata chłop polski z byle kim nie rad przestaje, od wolnych prądów myśli daleki, w jutro nie patrzy, szuka wczoraj w człowieku.

I całem sercem często odczuwa niedolę, gdy pana ziemi pozbawią losy, a rad całem sercem, gdy kramarz miastowy, fabrykant, słowem: człowiek nie z roli, w dobytku zmarnieje.

W domu smutne oczy, w drobnej twarzy zapadłe, witają starego. Smutne, pytające oczy. Od wielu miesięcy wstaje w nich ze świtem nadzieja, modli się, żyje szczęśliwa, nocą żal ją do snu kołysze, ze świtem znów wstaje wierząca.

I znowu wieczorem, ze smutnych oczu popłyną łzy, z mózgu do gardła wtłoczy się słowo dławiące: — co będzie? A stary pan do okna się zwróci, gdzie mur siwy, co zamknął przestrzenie, gdzie zuchwałe kominy, zdające się wszystkim mocom ducha, szlachetnym porywom, twórczym wysiłkom urągać.

O łąkach, o lasach, o zbożach, co złocą się właśnie, zamarzy szukający »czegoś stałego«.

Bo wogóle lekkomyślny jest stary.

*
* *

I oto na wysokim stołku — trójnogu siedzi nad biurem kantorowem pochylony pan z panów. Stary, zmarnowany przez życie — użycie, świeżo zrozumiał, odczuł, przebolał, okrutny wyrok losu: za wiarę i miłość, szczere uczucia, gościnność, za wszystkie wytwornego ducha zalety, z krwią odziedziczone po ojcach, skazany na ciężką pokutę, uczy się misternej sztuki kłamstw ludzkich, nienawistnego handlu i — pracy.

Pogodzić się z tem trudno, gdy po latach dostatku, swobody, przekleństwo szarego, codziennego

trudu zawiśnie, tego trudu, co to jakoby człowieka uszlachetnia, podnosi, lecz nim chlebem obdarzy, niewątpliwe zadowolenie przyniesie, jakże udręczy! Twardy kark w ukłonach giąć trzeba, wypieszczoną dumę na ofiarę złożyć, a co najokrutniejsze — prosić.

Cóż wreszcie prośba, gdy upokorzenie najsroższe — odmowa; tylu zaś zimnych, surowych ludzi na świecie... Ani wie, ani czuje, że żgnął w samo serce. Wielka to sztuka i pańska, zaprawdę, — umieć odmówić.

Na wysokim stołku — trójnogu siedzi nad biurem kantorowem pochylony pan z panów. Rasową głowę pochylił i duma, ile to już zniósł ofiar, upokorzeń, nim tę upragnioną posadę otrzymał. Ile to razy odprawiano go z niczem. Ile to godzin, nieraz, na zbogaconego wyrobnika wyczekał, a gdy go prosił, aż łzy biegły, gdy o swej doli mówił.

— Za byle co, panie... Głód, panie... Wstyd... — moc jakaś kościstemi palcami wtedy chwyta za gardło.

— Co pan umie? — pytano go wówczas i odprawiano z uśmiechem, z obietnicą niekiedy:

— Jak się co znajdzie, zawiadomimy.

»Co pan umie?« — wydawało się staremu wprost okrutnym wymysłem. Toć umiał z wysokiego kozła czwórkę jedną ręką prowadzić, charty do pola zaprawiać, bić kulami zające, dzikim źrebcem w ga-

lopie obracał, dobrał niejedną sforę sławnych ogarów, konie sprzęgał jak nikt, pić umiał i toasty kleił — do wiersza, a dziś lada chłystek drwi z niego, że nie wie, co *debet*, a co *credit* znaczy. Kredyt to kredyt — wiadomo, sęk jednak w debecie, ale i tego nauczył się stary, aż mizerną posadę wyprosił, wydeptał...

— Jak na podorywach zająca — mawiał z uśmiechem.

I oto już posiadł określone tytułem stanowisko ekspedytora w kantorze fabrycznym, ze stanowiskiem świadomość znaczenia białych, czerwonych niebieskich i w paski listów frachtowych i zawiłą tajemnicę obrządków przy wysyłce pocztowego »pakietu«. Przeszedł mądrą szkołę podstępów, nadużyć, wreszcie kopiuje listy, dodaje długie kolumny w księgach handlowych i — żyje. Znosi bolesne drwiny i żarty, aż brzydnie to życie, tak pracowicie łatane z codziennych obaw, udręczeń.

Jak szare, wrzaskliwe ptactwo, co nad orłem się znęca, gdy osłabłe skrzydła opuści, bezduszna zgraja kantorowych mizeraków na starego się ciska, — odskoczy. Drgnie stary, naprzód się rzuci.

— Jeść trzeba... — w mózgu mu błyśnie, do przerwanej pracy powraca i prosi:

— Ludzie, dajcie mi pokój, człowiek nie wytrzyma i...

— I miejsce straci... — dopowiada ktoś z boku.

Okrutne słowa aż dzwonią, strach silnego ogarnia, wtedy zuchwalstwo słabych się wzmaga.

— Niech się pan tak nie szarpie, panie szlachcic frachtowy, stary pana i tak, *per Eilgut,* wyrzuci.

— Rzucić się pan może w lesie, co go niema, a szkoda, bo ładny był las i trzeba się było powiesić.

— Buciki się drą jaśnie panu!... — lecą z kątów okrzyki coraz głośniejsze, coraz zuchwalsze.

Stary mocuje się z sobą, hardą głowę coraz niżej pochyla.

Woźny kantorowy lituje się nad prześladowanym, chyłkiem ode drzwi, lis stary, zbliża się do prześladowanego.

— A bo rznąłby wielmożny pan bez łeb którego cherlaka, zaraby go odeszło. W łeb, po gospodarsku, najlepiej.

A staremu aż siwe oczy się śmieją, zna on ten środek wymowny. Bił i nagradzał, możnym był panem.

— No to i wyrzucą... — westchnął po chwili.

— Toć inne miejsce się znajdzie. Cóż to wielmożny pan do takiego łapciucha buchaltra?... Wcale przyrównania niema. Źleby było na świecie, żeby zaś szlachcic, człowiek uczciwy...

— Uczciwy a głupi to jedno, a takich wam nie potrzeba.

— O... jużeś i pan się nauczył... — uśmiecha się woźny. — A to i dobrze i chwała Bogu, że lu-

dzie będą z paniska, bo inny to taki jucha zajadły na ten honor szlachecki, pazurami go trzyma, aż z głodu mu koniec. Tu, w Łodzi, ten honorowy towar nie idzie, a warte to tyla, co, nie przymierzając, pańskie kamasze... — po ramieniu go z lekka uderzył, do ucha się pochylił.

— Nie będziesz kradł — nie będziesz jadł, takie tu już prawo: dla ubogich, dla bogatych — jedno. Tu honorów nam nie trza, — na szmelc taki towar. Tak...

I po chwili:

— A tak po szczerości, dużo pan z tych swoich fraktów obrywa?

— Psst! — Stary idzie... — przeleciało po kantorze półgłosem.

Stary pan pochyla się nad księgą, pracuje:

— Dziewięć a siedem... Tu honorów nam nie trza... Siedem a cztery... Siedem a cztery? Zmiłuj się, Panie Boże, nade mną.

Do kantoru wtłoczył się człowiek mały, opasły, z twarzą bezmyślną, obrzękłą, dziwnie ordynarną w każdym jej rysie. Drzwiami trzasnął za sobą, stanął na środku pokoju, rozparł kieszenie rękoma, a nie zdejmując kapelusza, blademi oczyma po pracownikach wodził.

Stary zerwał się z taboretu i pochylił w ukłonie; pracodawca spojrzał, jakby zdziwiony, głowę od niego odwrócił i chrapliwie rzekł w przestrzeń:

— Pan musi, ale, pracuje, ja darmo chleb nie dać...

— Staram się, panie szanowny...

— Po niemiecki musi uczyć.

— A jakże... Właśnie podług metody...

— Książki trzyma w porządek, nie spóźni, nie kradnie.

— Szlachcic, panie dobrodzieju, jestem.

— Glupia jest i siedzi cicho!...

— Ależ, panie łaskawy...

— *Schluss!*

Na krzywych nogach, niezdarny kręcił się po kantorze, w każdy kąt zajrzał, a skrzypiąc przeraźliwie butami, mruczał, chrząkał, pluł.

— E, ee — *Sie,* — Kwaschke, — *Conto-corrente. her!*... — wrzasnął i do swego gabinetu się zwrócił. Cisza kantorowy pokój zaległa, tylko niekiedy brzęknęły klucze, zaszeleścił papier, zgrzytnęła prasa kopiowa, nie odezwał się jednak głos ludzki. Ze szmerem odwróconej karty przeleciał szept;

— Zły stary... Duże obligo. Dyskontować nie chcieli, a jutro wypłaty.

— Siedem a cztery a sześć... Zmiłuj się, Chryste...

Z otwartego gabinetu słychać sapanie, stuk rzucanych książek, krzesło na podłogę upadło!

— *Verflucht!* — głos się odezwał, i po chwili:

— E, ee... Zawisza!

— Słucham pana dobrodzieja.

— 385. *Drei Monat fünf Tage, acht halb Percent.*

Stary zamrugał przerażonemi oczyma, krząta się niespokojnie, szepcze wreszcie do sąsiada:

— Czego on chce? Jakieś drajmonat finftage, — co ja mam zrobić?

— Dyskonto pan olicz... — odzywa się miłosierny towarzysz. — Trzy miesiące pięć dni od 385, na osiem i pół, — ale śpieszże się pan.

— Nu — u? — głos niecierpliwy.

— Zaraz, panie dobrodzieju... mój... Ja zaraz.

Drżącą ręką wielkie liczby wypisał i począł liczyć półgłosem.

— Trzysta po osiem to dwadzieścia i cztery, a po pół to 10 złotych, to 25.50, a 85 dni po 8 to siedem, jak obszył, i po pół, i dodać do kupy. Nie święci, panie, garnki... — no i podzielić...

— Ale gdzie teraz *finftage?* A to mi zadał bobu dopiero... O Panno Święta, zdechł pies z ułamkami... Cóż mi to znowu wypada?... Laboga, laboga.

— Nu, — gotowo!... *Kreuz Donner...*

— Zaraz, zaraz... Za kwadransik obliczę sprawiedli...

Parsknął ktoś śmiechem, władca zerwał się, rzucił, rozwarł wyłupiaste oczy i powietrze chwytał.

— *R-raus! Raus mit dem Kerl...*

Odetchnął, ogłupiałym wzrokiem potoczył i wybełkotał:

— Ja... Ja nie może irytuje. Wątroba — Karls-

bad... *Nein, ich sag's, so ein Halunke...* Niema u mnie posada... — i drzwiami trzasnął, aż dźwięknęły klucze od kasy wiszące, woźny przysiadł do ziemi, ramionami poruszył wzgardliwie prokurent.

Zawrzało, cisnęli się wszyscy do zawstydzonego biedaka.

— Panie dyskonter, panie szlachetny... Za kwandransik... Oh, ho, ho-ha-ha-ha, chyba zdechnę ze śmiechu!

— Osiem razy $^3/_4$ to 6. Znaczy sześć rubli. Nie przeszkadzajcie, panowie.

— Na korce pan oblicz odrazu, poco na ćwierci. Staremu zaraz kartoflami w banku wypłacą.

— To sześć rubli to co?

Rozpacz myśl plącze, aż wreszcie mózg ustał w robocie, a na pogodne oczy, co się tak zawsze serdecznie śmiały do ludzi, cisną się łzy.

— Co teraz?

— Ano teraz jest już po panu i — ament. Zarobić czy ukraść — trzeba też edukacyi do tego, a panisko ma tyle rozumu, co nie przymierzając...

Spojrzał po nim woźny z pogardą, w wytartem ubraniu porównania szukał, aż ręką machnął i odwrócił się.

A stary pan z panów powstał z za biurka, wielkie, lśniące łzy na nieobliczonych procentach zostawił i powlókł się szukać czegoś stałego.

. . . .

NA WIŚLE

»Nasze hasło, nasza broń:
Miłość, zgoda, bratnia dłoń«.

— R-raz! Dwa! Raz, dwa...

Wiosła do wody i z wody, a coraz prężniej pracują ramiona, coraz chyżej mknie łódź, jakby wydziera z Wisły ucisków, bo taka wola jedności i zgody, w silnych ramionach zaklęta.

Zgoda a siła to potęga, to moc. Sprawna łodzi osada jest tych darów obrazem, i niech tylko myśl jednemu hasłu się podda, drgnie w duszy cel, wnet serca zgodnie uderzą, spadną wiosła na wodę, i rodzi się czyn.

I w dzieło wyrasta, byle nikt wiary w siebie nie stracił, drugim, jak sobie zaufał, i — raz! dwa! — raz, dwa! z mocą pierś poddał, w zgodnej pracy zespole nie ustał, aż złoży ostatnich wysiłków ofiarę.

Jak dwie strzały, z jednej cięciwy wyparte, sunęły: »Płock« z białą osadą i »Kalisz« różowy. Dzieci Prosny zmagają się z Wisły synami, idą w zawód: kto sprawniejszy, kto pierwszy.

Z zajęciem bieg śledzi Warszawa, i rada, że Wisła dała swym synom nagrodę.

Wita »białych« fanfara, dla zwycięzców oklaski, ale dzielny przecież i »Kalisz«, więc i jemu:

— Niech żyją!

W duszach jednak coś, jakby żal. Zna swoją wartość osada, i tylko wpływom sił wyższych może przypisać porażkę.

— Płock szedł z prądem od Pragi, a my ze złej strony.

— Nie uregulowana woda na Wiśle.

— Niejednakowa...

Raźno, z dobrą nadzieją odpływają do startn »Poznań« z »Kijowem«. W przystani żegnają ich żarty i słowa otuchy:

— A wracajcie pierwsi!

Z tłumu publiczności wychyla się jasne, świeże, różowe stworzenie i chustką powiewa. Żegna czy błogosławi? Może całą osadę, lecz pewniej tylko jednego. Dwie nagrody otrzyma szczęśliwy, bo tak już na świecie, że radość idzie śladem radości.

Brzmi skocznie muzyka, leci falą powietrzną, nad Wisły falami daleko. Tłum rozbawiony, wrzawliwy, radosny, a na krypie, gdzie ścisk granatowych wioślarzy, aż huczy życie i dzwoni śmiech. Siła a zdrowie. I to z wody ta moc. Gościnni, serdeczni! Dużo szczerej polskości i polskiej tężyzny, myślom dobrze i zdrowo jest z nimi. Starzy i mło-

dzi z wiosłem zbratani, z wodą w przyjaźni, a kawalerowie jak z ognia. I takie w nich ukochanie tej Wisły serdeczne, zaś o łodziach, jak o kochankach, mówią z tkliwością.

Ta »Wesoła«, ta »Miła«, tamta »Syrena«, kołyszą się zlekka, pluskają, chwilami jakby rwą na uwięzi, do biegu, do lotu.

Ogorzały, urodziwy wioślarz, ze wzruszeniem o dawnych radościach i troskach prawi, »Mewę«, starowinę wspomina z tych czasów, kiedy to przystań maleńka, o dwóch okienkach, na falach wiślanych się chwiała, a przy niej skarb — łódka jedyna.

— A ile to było dumy, radości, wtedy, gdyśmy i drugą łódkę zdobyli...

Ale już lecą »Poznań« z »Kijowem«. Ożywiona o zwycięstwo walka. Szybko nurzają się wiosła, skrami wody zabłysną, znów grążą się w głębię, a pierwszy wioślarz — serce osady, raz wraz siły poddaje, coraz szerzej wody zabiera, i nie suną, a sadzą już łodzie.

— Kijów! Kijów! — grzmi na przystani.

— Poznań, Poznań! Dobra robota!

— Wytrzymalszy jest Poznań.

— Ale bierze już Kijów!

I chwila, i sprzeczka, bo niewiadomo, kto pierwszy. Ci za »Kijowem«, za »Poznaniem« tamci, aż nagle tysiąc głosów, jak jeden:

— Wziął Poznań!

Oklaski, muzyka, i śmieją się usta dziewczyny, a serce aż ściska z uciechy.

Znów wyścig i znowu grzmiące oklaski radości, bo zwyciężyła warszawska załoga, potem idą w zawód *scullingi*, półbąki, a na ośmiowiosłówkach nowe pokolenie — synowie wioseł się jęli! Miłość, moc, hart mają po ojcach.

I ładna chwila, gdy wreszcie najstarsi, a ten i ów z białą już głową, na dwóch łodziach, po osiem wioseł wzięli w garście żylaste, — naprzód! — krzyknął sternik-jubilat.

— R-raz, dwa! Raz, dwa! Może ostatni raz w życiu — ktoś wzdycha z osady.

A potem wieczornica — uczta, a przy niej i na ustach i w sercach gorące, serdeczne ukochanie swej ziemi, swej wody i ludu.

A starsze ono i trwalsze od haseł i gromkich okrzyków, co rodzą się z dzisiaj na jutro, bez — wczoraj za sobą.

NA OBCYM CMENTARZU

Dzień drugi listopada w Paryżu, to nie rzewne Zaduszki nasze; z cmentarzem ma on tyle tylko wspólnego, że się dnia tego toaleta grobów odbywa — *la toilette des tombes* — dosłownie, jaki to akt u nas »oporządzeniem nieboszczyka« zwie się obrazowo, i to, co u nas jest wstępem, tu całe święto wypełnia.

Więc święto lakierów, pokostów i wieńców, zimne, bezduszne święto cmentarnego porządku. Trochę plotek przy grobach, z niepocieszoną wdową znajomość pocieszna, czarny pan z legią, takiż pan z brodą, pęki pysznych kwiatów, szeregi karet, strojne panie ze świata, jeszcze więcej strojne z jego połowy, i — *au voir*, do przyszłego roku, o ile nie wypadną jakie ważne wyścigi, a toaleta grobów jeszcze z mody nie wyjdzie.

Nie nasz kraj, nie nasze serca, bóle nie nasze, lecz zdawałoby się, że śmierć tu poczciwsza; tylko nie kochanych ludzi zabiera, bo odchodzą bez żalu.

I aż dziwno, dlaczego taką potęgę smutku, bez-

miar człowieczego cierpienia wyrąził *Bartholomé* w wielkim ogólnym pomniku, zdobiącym u wejścia stary cmentarz paryski:

Szereg ludzi zbolałych wlecze się do ciemnej, ponurej głębi, trwoga ich łamie, ciska o ziemię, wstają, a dążą do tych wrót czarnych — tam kara czy niebyt, a w duszach najstraszniejsza z obaw człowieczych — niepewność.

Obok ci, co żegnają. Taka moc bólu jest w nich, że zda się drży jęk rozpaczy, w kamiennych postaciach zaklęty. Z czyich dusz jednak czerpał artysta tak potężne żalu uczucie, bo nawet zadumania na twarzach tych ludzi nie widać, co u spodu pomnika śmierci się snują. Ten i ów głowę podniesie, potężny grobowiec wzrokiem ogarnie: z czego zrobiony, kto wykuł, ile zarobił?

Albo pogląd krytyczny: ten ma ręce za krótkie, tamten nogi za długie — albo:

— *Tiens, Bartholomé*. Czy to ten brunet przystojny, co chodzi z rudą Alicyą?

— A, nie! — on jest blondyn i chodzi z małą *Fanchon*.

Opodal pomnik dla tłumu ciekawszy, bo zawsze bronz łatwiej zrozumieć, znaczy: ocenić na funty, niż myśl pojąć, uznać skarb duszy w kamieniu.

Leży tam człowiek z kosztownego kruszcu odlany, dwa sztandary przy nim, francuski i rosyjski, wstęgą związane.

Feliks Faure.

W fałdach sztandarów, na śniedzi bronzów, pęki żywych róż płoną, a w twarz prezydenta błotem ktoś cisnął. Dwa wyrazy pamięci. Który z nich szczerszy?

Obok *Faure'a* sarkofag, na nim lilie burbońskie, graf jakiś spoczywa, przy nim pomnik *moderne* biały, zielony, dalej anioł rzucił harfę strzaskaną na mogiłę rzeźnika i trwa w zadumaniu, dlaczego to zrobił, — a tam, pod świerkiem, na mchami porosłej marmurowej płycie spiżowy pies wyje. Zapomniana, zniszczona mogiła, jak to twórca pomnika przewidział.

Piękny pomnik dla *Hoffa*, sierżanta, wiernego syna Alzacyi. Żołnierz w bojowym rynsztunku, oczy przysłonił, w dal patrzy, a spodem alzacka dziewczyna pisze wyrazy: »Francya o tobie pamięta«. Poniżej wieńce i wieńce, a nad Renem może przekleństwo, bo *François Hoff* bohater, a *Franz Hoff* zdrajca ojczyzny, — to blizkie, jak zasługa i wzgarda w ludzkiem samolubnem uznaniu.

W pięknym, pełnym prostoty grobowcu, śpi *Moliere*, a *Lafontaine* obok, z lisem na grobowej płycie. Jakaś staruszka trochę ubogich kwiatów przyniosła, złożyła je na mogiły dwóch wielkich szyderców, szepcząc modlitwę. Poza tym darem nic więcej dla nieśmiertelnych — a może i dobrze, że ich ludzka pamięć, a z nią mizerna namiętność

porządku omija, bo przykro niezawodnie byłoby autorowi »Fałszywych poczciwców«, gdyby, z piekieł wyjrzawszy, spostrzegł odlakierowane na świeżo sztachety i odzłocone litery, na drzwiach swego ziemskiego mieszkania.

A piękne to jego mieszkanie i w otoczeniu innych odbija, jak szczera zasługa od tej kokieteryi pośmiertnej, w którą stroją groby krewni, czy przyjaciele zmarłego, dając tapicerom strzaskane kolumny, wawrzynowe wieńce sklepikarzom, lub obeliski, strzelające pod niebo, tym nieboszczykom, których cele, marzenia, nigdy nie wybiegły poza trzy piętra własnej nieruchomości.

Wogóle brzydkie są na *Père-Lachaise* nowe pomniki: kwiatki, kolorowe marmurki, nieubrane panie odcinają się przykrym brakiem powagi od starych gotyckich kapliczek, od prostych skromnych linii *empire*'u, pełnych godności pomników z hebrajskim napisem i bluszczem porosłych kamieni. I jedynie w tych dawnych pamiątkach widoczną jest dążność do szczerego, prostymi środkami zdobytego wdzięku, z pozostawieniem pramistrzyni Naturze wyboru barwy i krasy, w jakie ona ustroi ludzkie tworzywo.

Dziwny dar mają ludzie niszczenia pracy przyrody w imię jakiejś prostytucyjnej czystości. Jawi się taka czarna wdowa ze służbą, kubłem wody i szczotką na cmentarz i, roznamiętniona tem prze-

kleństwem porządku, poza którym często nic na świecie nie widzi, rzuca się na mogiłę. Nie ostygnie w zapale, aż zedrze z niej mchu najpiękniejszy aksamit, pnące »chwasty« z kolumny oskubie — i tak przez dopełnienie »świętego« obowiązku uspokojona, złoży paciorkowy wianuszek na wyszorowanych marmurach. Szczerzy zaś, prawdziwi artyści: pnące rośliny, mchy, wrzosy, co jaskrawe barwy, twardość obrysów, wymyślone przez ludzi ozdoby łagodzą, ci leżą zdeptani, przeklęci. Bo i jakże inaczej, wobec przekonania, że tylko miotłą i szczotką zdobywa się prawdziwą zasługę — umiłowanie porządku.

I wszędzie te czarne panie, ochędóstwem cmentarnem zajęte: tam się szoruje, a tu się trzepie. Zaś od grobu do grobu biegną rozmowy, nic wspólnego nie mające ze śmiercią.

Na tymże *Père Lachaise* jest cmentarz popiołów. Długie, w romańskim stylu galerye, a w nich jedno przy drugiem schowanka; podobnie, jak w skarbczykach bankowych, gdzie ludzie przechowują kosztowności, pieniądze, tu mieszczą drogie szczątki, popioły. Obok galeryi — *crematorium* — kopulasty budynek. Spala się człowiek, garstkę popiołów wynoszą, potem numer, pół łokcia tabliczki, mniej albo więcej ozdobnej, i w dzień zaduszny ciągną tam nieutuleni w żalu, a tulący się do siebie wdowcy i wdowy. Podumać, westchnąć, oku-

rzyć z prochu ziemnego, utlenione dawnych prochów szczątki.

Na tabliczkach czasem hafcik, czasem kanwy kawałek, a na niej wdzięczną filozelą niezapominajki oddane, czasem jaskółki w sztucznych kwiatów wieńcu, fotografia pana w czarnym surducie, z egipskiego grobowca ichneumon, i ni stąd, ni zowąd — naga panienka.

Czasem tylko sam napis: nazywał się, umarł i słowo: »*Regrets*«, krótkie słowo, bez wyrazu zgoła. Niekiedy spotyka się jednak zapewnienia, pełne ozdobnie wyrażonej tkliwości:

»Od chwili, kiedyś ty zawarł powieki, łzy do moich przywarły — na zawsze«. Pięknie, ale i wdowa niebrzydka, rozbawiona, śmiejąca, a w oczach płomiennych ani śladu rzewnej wilgoci.

Dziwnie nieswojsko pomiędzy temi szafkami, a choć może palenie ciał jest sprawą wielkiej hygienicznej doniosłości, to jednak dla człeka z Dalekiego Wschodu, het, z pod Grodziska, milszy dla oka i serca grób z krzyżem drewnianym, dzikimi kwiatami porosły. Nad nim, w kraśnym wełniaku, w zapasce, postać schylona ziarna koronki przesuwa, a gdy ból ściśnie za serce, z myśli ucieka modlitwa i tylko proste, nieuczone żalu wyrazy spływają na usta:

— Ostawiłeś niebogę. O, mój ty chłopie, mój ty serdeczny!... — i rozpacz pochyla w dzikie kwiaty

głowę zbolałą od troski, aż żałość od serca odejdzie, spłynie ze łzami poprzez piasek mogilny do tego, co kochał, choć bijał.

A no — co kraj, to obyczaj: inni ludzie, inne mogiły, żal inny; a że serca tu twardsze, toć uczy życie, że lepiej...

Z chwili zamyślenia budzi mię głos:

— *Le Szopęue?* — stróża cmentarnego rzęsista rodaczka się pyta.

— *Frédéric Chopin? Tout droit, par la onzième division.*

Jejmość waży coś w myślach, do córeczki się zwraca, i szepczą:

— Ale bo mama....

— Ale bo córka... Za konwersacyę się płaci, a tu ani *be,* ani *me,* jak potrzeba.

— Pani pozwoli, idę właśnie w tę stronę...

— Ach, Polak. Patrz, Julciu, pan Polak... — i wypłowiałe mamy źrenice, modre panny Julii oczęta spływają w spojrzeniu po mojej twarzy, po szatach, i od butów znów biegną ku górze.

— Bardzo przyjemnie... Bo my właśnie z Radomia.

— Ładny pewno tam cmentarz... Nasz, polski?...

— Żartuje pan. Cóż może być ładnego... w Radomiu?

Za chwilę jesteśmy u celu. W medalionie wyrazisty profil muzyka, obok *née à Zelozowo-Wola,*

près de Varsovie, a wyżej z lutnią dziewczyna, dość szczera, bezwładna...

Na podstawie pomnika panna Julcia składa kwiatów wiązankę: drobne odszkodowanie, bo panna Julcia gra niezawodnie Szopena, »kocha go, czuje, rozumie«.

— Phy!... Było też co postawić! U nas miałby z pewnością pomnik piękniejszy.

— O tak, pani dobrodziejko, u nas po ludzi talentu uznanie karawanem zajeżdża.

— A pan... — zmierzyła mię od butów do krawata włącznie — pan musi być malarz albo literat, bo wybyście radzi, aby każdy zaraz miał swoją posesyę i pomnik w podwórzu, za życia... — i nie tyle do rzeczy, ile z wielką techniczną biegłością, olśniewa siebie mateczka światopoglądami z radomskiego zacisza.

Ale już i zmrok, a choć w okolicy częste polskie nazwiska, zwracam rodaczkę do miłego, wdzięcznego nad wyraz, Klementyny z Tańskich pomnika. Na kolumnie portret niezapomnianej autorki, poniżej dwie dziewczynki — prababki, *à l'empire* utrefione. Jedna z nich czyta, i pełna to wdzięku figurka, taka z dawnej Hofmanowej powieści, prostej a szczerej, jak stara melodya.

Pomnik w stylu pierwszego Cesarstwa, odlany z żelaza, co widać ze rdzy, jaka szeroko się po nim rozeszła; lecz nie zmarnieje piękna pamiątka,

jako że u podstawy jest napis, głoszący o polskiej komisyi opieki nad grobami w Paryżu...

U wyjścia z cmentarza znów polskie dźwięki:

— Jestem, mówię ci, *tout court,* szarmowany tą finezyą francuską, tą ich reszerszowaną manierą. Żadnych *chansons,* żadnych naszych zaduszek, *quoi,* tylko *simple,* bez świec i kupletów, a ma to taki *cachet* kultury, który naszej ziemi nie idzie.

— *Oh! passons, lá!* Te memuary *de Varsovie* degutują mię zawsze.

A potem dziwno polaczkom, że ich nie szanują na świecie.

NA ŚW. JANA

»Milszy tobie syn kobyli, niżeli syn Boski«.

Skarga.

Pan brat, chyląc kornie łeb podgolony, kazania wysłuchał, lecz nie zaniechał jarmarku, bo wielkie było w dawnej Polsce koni ukochanie, a bodaj najważniejszą każda sprawa z nimi związana.

Uszła jednak powoli dawna namiętność, zjawiły się nowe upodobania, a jeśli gdzie jeszcze żywiej serce do koni kołacze, zazwyczaj to z interesem połączone uczucie, dalekie od idylli owych czasów, kiedy to:

»W stajence klaczka Rzeźka z konikiem Drabantem,
Zyły w zgodzie przykładnej z barankiem Dyszkantem«.

Zaś:

»W koniu się kochać, na harc nie wyjeżdżać na nim,
Toć co gdakać, jaj nie nieść: było mądrych zdaniem«.

— mawiano już wówczas, nie dziw zatem, że i dawny koń, t. zw. polski, »rzeźwy, pyszny, niespokojny, zwierz natarczywy i lubiący wojny«, zaginął równie, jak i owi, co źrebcem gładko wodzili, jak po toczydle nożem

Gdy dzielnych koni i jeźdźców rycerskich nie stało, upadły i dawne jarmarki, przestały być świętem i zabawą. Z roku na rok coraz mniej ożywione, nie dają zgoła obrazu tych czasów, kiedy to w taradajkach, kariolkach, skarbniczkach, pańskich kolebkach, czy ubogich wasążkach waliła butna szlachta na towarzyskie, zawsze huczne zebrania, a po targach pomyślnych, po facyendach, kiedy za gąsiorem ten i ów krzywdę swoją wypomniał:

»Włosy leciały, jakby ze łbów pierze,
Kufle się tłukły, sypały półmiski

i —

Wówczas dopiero było po jarmarku,
Gdy pijanemu nadrąbano karku«.

Ale co kochanego sąsiada na siwku nosatym oszwabił, co mu kobyłkę bez rejestru, wmówił, — lubego wspomnienia nikt zabrać nie był mocen, zostało ono na zawsze z historyą, bodaj dumą rodu związane, a ojciec rozpowiadał synowi, jakiej to głowy był dziad.

I dziwna rzecz oto, bo podówczas, gdy zręczne oszukanie na koniu nie było zgoła czynem hańbiącym, owszem, świadczyło o przenikliwym dowcipie sprzedającego, kupowano po jarmarkach wielkich cnót konie, dziś, gdy na to nadużycie patrzą ze wzgardą, dziś rzadki człek taki, co na jarmarku nie został oszukanym...

Czyżby tak zmarniał koński, czy... ludzki gatunek?

Dość spojrzeć po targu, aby dojść do wniosków stanowczych. Nad szarem mrowiem ludzkiem, kotłującem się w pyle, wynosi się dumnie, złocisto połyskliwe stworzenie. »Jak u panny głowa, jak u wdowy piersi«, moc życia chrapy rozpiera, w cudnych oczach płomienie, a gdy się miłosnym śmiechem zaniesie, — silny, rzęsisty głos pomknie nad głuchym ludzkim rzechotem, rzekłbyś dzwonki spiżowe w piersiach rozdźwiękły. Dumny, wspaniały ciska się, chrapie i wspina, miota człowiekiem, jakby zawieszonym u pyska.

— Na moje sumienie... Jeden koń dla jaśnie pana dziedzica.

A jaśnie pan — kupczyk z Łodzi, miasteczka, patrzy po rumaku blademi oczami, bez blasku. Nie czuje, nie rozumie nic, wie tylko, że koń do interesu potrzebny. I radby go kupić najtaniej, a zdarzy się sposobność, sprzedać z zarobkiem.

Rozpoczyna się ożywiona namiętnymi ruchami komedya kupowania. Sprawa umówiona już z góry, z góry określona prowizya i przewidziane ustępstwo, a zda się, że ciężkim trudem pośrednika zdobyte; wprost przemocą ze sprzedającego wydarte.

— Za darmo jest koń... Już sto rubli odstępnego chcą dać. Sam pan Szajbler targował, jaśnie pan zna?

Tu i ówdzie jednak coś się psuje przy targu. Jakiś znak, jedno nieuchwytne spojrzenie, słowo od niechcenia rzucone i w koniu, który wszystkie wprost nadkońskie zalety posiadał, odnajdują się jakieś martwe kości, sztengle, złośliwe zołzy szpat...

— A chysz... a chysz... — zaszwargoczą żydki, i —

— Nie dla jaśnie dziedzica takie chore bydlę... — i w drugą stronę i znów od początku, a zręcznie, bo już wejrzał ci w duszę pan Ajzyk czy Dawid i choćbyś się człeku zasłaniał, udawał...

— Ja wiem, co jaśnie panu potrzeba.

Okazuje się jednak po kupnie zazwyczaj, że dychawiczny, utykający koń niepotrzebny ci zgoła, lecz jak dawni ludzie mawiali:

»Po targu żałować jest to samo właśnie,
Co patrzyć na kompasie, kiedy słońce zgaśnie«.

a dość spojrzeć na smutną zgnębioną twarz pośrednika, dość wymyślnych przekleństw posłuchać, co to wszystko ma »tego łapserdaka« spotkać, jaki żywot uciążliwy, jaka śmierć przykra, aby w szczerość rozgoryczenia uwierzyć, czego dowodem wreszcie gotowość do pośrednictwa przy sprzedaży nabytku.

— Ale... Jaśnie pan przecie rozumie, jaki ja będę miał kłopot, bo przecie mądry tego konia nie kupi.

I dziw, że najtrudniej sprzedają się konie »cnotliwe«. Cnota ma kurs zawsze najniższy, podobnie jak na ludzkich targowiskach, człek wprost nawet niechętnie w nią wierzy, jeśli się z jego miłością własną nie wiąże.

Chłop prowadzi na jarmark wypieszczonego ogierka, prawie że w izbie go chował, sypiał z nim prawie, jak źrenicy strzegł, i już go zrazu, grot ludzkiej złośliwości w samo serce godzi.

— Co chcecie, gospodarzu, za tę kalikę?

Lecz chytry księżak, pozornie nieczuły na zjadliwość pytania, odpowiada zimno, z godnością:

— Za byle nie kupita zydzie.

— Niech słyszę słowo.

— Trzysta papierków.

Jak człowiek, gdy go utnie gad jadowity, ciśnie się pan Jakszak, czy Rubin, aż na ziemi przysiądzie i aż rechocze.

— Oj, tu prawdziwy teatr jest, inne niepotrzebne komedye.

Lecz wraca po chwili, znów konia ogląda, dławi go za gardziel, krzyż mu przygina, gładzi, szturcha, popycha, to znów oczami świdruje, jakby we wnętrzności chciał zajrzeć, nagle, jakby coś dostrzegł, zafrasował się wielce, już jakby oprzytomniał, skrzywił twarz pogardliwie, nagle rzekł z mocą:

— Jo tego konia nie kupię.

Chłop uśmiecha się drwiąco:

— Toć powiadałem.

Kosa na kamień. Za nic obliczone podstępy, chłop zna wartość swej szkapy. Zna ją i faktor, konia chce kupić koniecznie, więc zimny, drwiący, odchodząc rzuca niedbale:

— Nie ma czas na gadanie... Dam dwieście, jak oko.

— Nie kupita, powiadam.

— I pięć... — i już na chłopka, jakby wielką garścią żydów kto cisnął, otoczyła go zgraja, jeden przez drugiego coś chłopu wykłada, już między sobą się kłócą, ten trzyma stronę faktora, tamten chłopa przyjaciel, szarpią na nim sukmanę, chwytają za ręce, byle targu już dobić.

— I — szedem... Wojciechu... — szepcze mu w ucho pieściwie.

— I dżewięć! — zuchwale w samą twarz, jakby plunął.

— Nie przedom.

Nagle z uszanowaniem rozsuwa się ciżba i lecą czapki. Jegomość z konopiastym wąsem, z cielęcemi oczami, już i na oko głupawy, — zbliża się niedbale do konia. Drepczący przy jego wyniosłej postaci chudy żydek, spogląda, nie bez wzgardy po otoczeniu, a wspinając się, szepcze mu gdzieś w okolice kieszeni:

— Jak co dobrego, to zaraz są te złodzieje... — i już wdał się w kłótnię z najbliżej stojącym kolegą.

Pan dziedzic, tchnący skwaśniałym zapachem wódeczki, spojrzał po koniu, trzepnął się laską po butach, oczy w drugą stronę odwrócił.

— Ile za szkapę?

— Trzysta papierków.

Zaszemrało oburzenie wśród żydków, pan odwrócił się, poszedł.

— I co wy zrobiliśta, Wojciechu? Jaśnie pan się obraził. Czy to wy nie widzita, jaka osoba, i pierwszy gubernialny znawca na konie, a wy się wcale nie potraficie odezwać...

Chudy, zadyszany żydek podleciał.

— Spodobaliśta mu się... Da dwieście... On wielki pan jest.

— *Gaj... Gaj!...* Ja dwieście pięcz chcę już dać.

I znów szwargot, znów tarmoszenie, lecz chłop jak opoka, oczy posłał gdzieś w dal, nie słucha co mówią, chwilami tylko, naciśnięty gwałtowniej, odmruknie.

- Nie przedom.

— Bo się żony boita. Chłop jesteście wy mądry, sami widzita, że koń nie wart, i nie wstyd to wam kobiety się boić. Ny... Dwieście dwanaście i niech będzie raz kuniec.

Aż nareszcie gwar cichnie, targujących ogarnia znużenie. Wzdychając nad chłopską nieradnością, pozornie już odstępują od kupna. Małoż to koni na jarmarku i dobrych. Każdy gospodarz, gdy tylko

na właściwem miejscu ma głowę, rad przecie, gdy pozbędzie kłopotu. Broń Boże nieszczęścia: żelazo a i to się złamie, a tu nogi jak piszczałki, czy to raz, od uroku, bywa wypadek. I parszywieją konie w tym czasie, bo susza i powiadają, że brać będą konie, a *potem* zapłacą, bo wojna... Z Turkiem wojna ma być.

— A takie chorobe, co nosacizna jest, wy znacie, Wojciechu?

— Oj, gorsze bandyty, jak nosacizna... — odpowiada ktoś z boku.

— Wus ys bandyty, kiedy on już ma pysk gorący, jak ogień.

— Szkoda za konia, bo ładny na oko... — i nagle z rozpaczą:

— Trzy ruble dołożę. Bijta w rękę, Wojciechu.

Chłop usta otworzył, naparła go ciżba.

— Nie przedom... Dziesięć rubli ustąpię i ani grosz.

W oczach faktora radość zabłysła: dźwignął opokę z trzystu papierków.

Dzień, dwa, trzy trwają targi, a nikt inny konia nie kupi, bo ciągle na oku, zaś podesłani handlarze coraz mniej dają, aż wreszcie umęczony, zły chłop ręki nie umknie, kupiec w szeroką garść wytnie i — litkup.

Wtedy, jakby z pod ziemi, zjawia się baba. Krępa, obsadnia, niezdarna jak pniak, ale krzepka,

żywiczna, żona bojąca, lecz nad chłopem przewodna. Sztuka po sztuce bierze pieniądze, papiery pod światło, srebro kamieniem próbuje, a wzdycha, liczy trzy razy, aż w węzełek zaciśnie.

— Będziewa co kupać?

— A ino.

Wnet już zgnębiony księżak dowcip odzyskał i swadę. On tera będzie kupował, już ta on za umęczenie żydom zapłaci, ino czekajta.

Kupuje bez złości, umiarkowany, powolny, długo towar ogląda, długo się waha, nim o cenę zapyta, wysoka suma wcale go nie wzburzy, nie zachwyci nizka.

— Bo towar, kiej organista, co i za dziesięć rubli zagra i za trzy i za pieć złotków, a choć gra zawdy ta sama, ty bracie idziesz na cmentarz.

A baba rada, że chłop taki »siuler« je w gębie. Oześmieje się szeroko, pomiarkuje rychło, że jej nie przystoi świecenie zębisków, tylko markotliwe wzdychanie, bo wnetki chłop by ją pozbadł i już o radę nie prosił, jak to czyni zawsze, choćby nawet i konia kupował.

— Jakze, Orsulka? — i pytająco w nią spojrzy, nim targu dobije.

— A ona mu, jak się chłopu patrzy, na to:

— Ja ta w niego nie będę robiła. Ino tak miarkuj, żeby, jak się zechlos kiedy, do domu pieknie cię zwiózł... — bo trza przecie zawsze chłopu przymówić.

Pełno tych par nadąsanych, kłótliwych, rozbawionych i śpiewnych. Jedyny wdzięk też stanowią, jakby z ciesielska wyciosane toporem, a w barwne pasy strojne, postacie.

Pól świeże tchnienie z niemi tu przyszło i raduje myśl, że od polskich łąk, od borów, od wód idzie taka władza i moc, że choć chwilami zakotłuje się szwargot chrapliwy, lub macierzyste przekleństwo tabunnych koniuchów rozlegnie, jeszcze nad temi obcymi dźwiękami górnie, a dumnie, od krańca do krańca, huczy mocny głos polski.

Tak jeszcze jest dotąd, lecz biegną lata, sławny koń dawno już zginął, starł się i zmarniał bałagulski zawadyaka. Nowi ludzie się rodzą.

I gorsze konie.

Z ZA CYRKOWYCH KULIS

Poza sferą uczuć w ludzkich gromadach, gdzie od chwili powstania kamiennego topora, ocenienia wartości pierwszej bryły złota, trwają bez zmiany drapieżne skłonności zwierzęce: chciwość człowiecza i małpi sentyment, — w przejawach myśli, dorobku wiedzy i sztuki, co zatem, w upodobaniach, poczuciach, zadowoleniu pragnień *chleba i igrzysk,* zmieniło się tak wielce, że wprost wyolbrzymiał duch ludzki. Cyrk jednak pozostał, ale jakże inny, jaki szary, bezduszny.

Minęły czasy świetnych cezarowych igrzysk, kiedy to, w blaskach południowego słońca i płomieniach barw, gnały w zawód poszóstne rydwany, a lud z zamarłem sercem, z zapartym oddechem śledził ten wyścig, za którym śmierć biegła. Aż wydarł się stutysięczny głos jeden uwielbienia, zachwytu, i rwały patrycjuszki z siebie klejnoty, ciskając w arenę, często krwią ubroczoną, drogie kamienie i złoto, w darze za najszlachetniejsze ducha pierwiastki: odwagę i dumę.

Minęło i to, co sercu i pamięci bliższe, —

czasy turniejów, bohaterskich zapasów i zabaw, na polskich dworach pańskich, kiedy to w zamkowym podwórcu, chłop z niedźwiedziem się zmagał, małmazyą upojonym dla większej srogości; uciekły wreszcie do wspomnień smutne dni czasów Stanisława Augusta, kiedy to człek posępną myśl rozweselał hecami amfiteatru, a w szczwaniu dzikich bestyi szukał ratunku dla gasnącej dzielności.

Wyszlachetniał duch ludzki, pozbył się krwawych porywów, szaleństwa odwagi — i dziś:

— Dobry wieszer państwu... — i w twarz błazen kolegę, i nogami go depcze, a potem koń, znękany głodem, podniecony batem, w piruetach się zwija, a za nim *first class lady and gentleman riders, Carl Peters moderner Humorist* i *M-r. Borcovscy, écuyer,* a potem balet – rodzimej prostytucyi sam kwiat.

Wyszlachetniał duch ludzki.

* * *

Przed laty popisywał się na placach publicznych Warszawy sławny *Blondin*, linoskok. »Miał honor za pozwoleniem Zwierzchności« narażać się na skręcenie karku, podczas swoich przedstawień na linie, zawieszonej na wysokości kilkudziesięciu stóp ponad ziemią. Dzisiaj ludzkość nie zniosłaby podobnego, rodzaju widowisk, nawet mniej tkliwa Zwierzchność nie udzieliłaby pozwolenia na tak

nieprawomyślne lekceważenie żywota. Zawieszonoby niezawodnie siatkę pod liną, i mimo to mdlałyby wrażliwe panie. Gdy jednak odbywały się niedawno w Warszawie popisy atletów, i po arenie przewałały się nabrzmiałe, oślizgłe kłęby ciał ludzkich, a motłoch huczał i grzmiał, dosłyszał ktoś szept, zdławiony, namiętny:

— Ach, gdyby teraz złamał mu rękę... Ach żeby... — tuli się piękna pani do pana, a wokoło gorące oczy, pragnące, rozchylone usta, w myślach żądza rozkoszy z krwi, z bólu, i —

— Kocham cię... — Kocham...

Bo w cieniach myśli ludzkiej zwierz żyje, czuwa uśpiony. Zmysłowe, drażniące widowisko budzi drapieżnika lub bydlę, wywleka mocną prawdę z duszy na usta, jak wino.

*
* *

Świat szychów i blagi, złocistych blaszek, kolorowych lampionów, i dzikich bestyj, szczerzących zęby z udaną wściekłością. I ludzi w błazeńskich strojach, z powłoką wapna na bruzdach troski i — cnoty hodowanej, jak kwiat rzadki, co wielkiej jest ceny, a zerwany przez żądnego kosztownych zdobyczy panicza, wszystkie trudy, zabiegi, pokusy opłaci sowicie.

— Sześć koni, pełnej krwi Karabachów wzięła *wtedy* Etelka... — mówi z dumą mama cyrkowa,

lecz wzdycha po chwili i grozi, gdzieś w przestrzeń, ubrylantowaną pięścią żylastą.

— I padły, bo otruła je u *Truzzi, cette canaille la Fatima;* ale znów strzegłam dziewczyny. Jak cień, byłam z nią we dnie, jak pies przy niej w nocy. Biła po twarzy, rwała mię za włosy, nie ustąpiłam na krok, aż Bóg uczciwość nagrodził i wzięła dwanaście karych ogierów. *Ils sont généreux, messieurs les boyards, vous savez, mon petit.*

Lecz — smutna i cicha Etelka, czegoś w życiu jej brak. Pieści swych faworytów, sama im grzywy zaplata, stroi wstęgami. Usta gorące do nozdrzy chłodzących tuli i śle myśli płomienne za cyrkową arenę, daleko. Za chwilę szczerego kochania, za jeden poryw serdeczny oddałaby wiele.

Oddałaby, mówi, sześć koni... które jej otruła *cette canaille la Fatima.*

* * *

Wielka sala na piętrze, — warsztat cyrkowy. Tam twarde życie gnie ludzi, łamie niekiedy. Łamie poprostu, i człowiek, dziecko najczęściej, idzie z warsztatu na śmiecie, nawet żalu nie zostawi za sobą, — niezdara.

Był taki w cyrku *bambino*, — tak go nazywali, — czasem ktoś *povero* mu rzucił, bo chłopak matki nie widział, nie znał swego imienia.

Mówiono, że znalazł kiedyś tam koniuch dziecko pół żywe pod słomą, a że właśnie przybyła na *the great attraction miss Marry Bradley* — z kozami, wykarmiła go pewna angora. Potem dzieciak żywił się chlebem i cukrem, gdy rzucił kto z łaski, a uczyło go życie, że koń ma twarde kopyta, zaś pies ostre zęby. Aż wzięli go ludzie na warsztat: rozbił głowę raz, drugi, — nic nie wart do reku, potem go majster przyginał, wyginał, — kark sztywny. *Carramba*, *verflucht*, — wyrzucili z warsztatu, niech łazi po stajni z publicznością obcuje, może choć błazen z niego wyrośnie.

Ale lubili go w cyrku, — więc jeszcze raz próba, do lekkiej roboty, na woltyż. Podciągnęli chłopaka na bloku, opuścili na konia, bat klasnął — *avanti!* dzieciak zawisł w powietrzu. I znowu na koniu, i znowu w powietrzu na sznurze się buja, lecz w końcu gdy już równowagę umiał utrzymać, odwiązano mu powróz od pasa.

Spadł kilka razy, wkońcu ogarnął go strach, siły już stracił i drżał, drobne usta w podkowę mu zwisły.

— Biedna dziecina... — stary koniuch miał serce, chłopca przywołał:

— Boisz się bardzo?

— Tak, boję...

— No, to bata się bój, bo on jest straszniejszy... — i — bił, aż drobny kłębuszek po arenie

się zwijał, lecz wszędzie go zjadliwy koniec bicza dosięgnął.

Powiadali, że z chłopca wyrósł dzielny woltyżer.

* * *

Prawie że groza, gdy człowiek w nagłym pewnym ruchu wpada do klatki. Strzelił z bata i spojrzał. Pochyliły głowy tygrysy, uszy im do czaszek przywarły, lew odwrócił łeb wielki, jakby ze wzgardą, bo wie król puszczy, że silniejszy od pana stworzenia, lecz zna jego chytrość i środki, zna pęta, przypiekanie żelazem i co najstraszniejsze, zna głód.

Środek to niezawodny, potężny, i gdyby nie umyślił go człowiek, zmagałby się lata ze zwierzem i nie był nigdy pewny swej władzy. Głód siła, ujarzmienia podstawa, wszelkiej nauki cyrkowej twardy towarzysz, głód — prawo i moc.

Ale gdyby spytać pogromcy, jakim środkiem cel zdobył, spełnił wielkie zadanie: zwierzę dumne, szlachetne nauczył skakać przez obręcz.

— Wzrokiem... — odpowie.

— Tylko łagodnością... — ten drugi.

— To moje dzieci... — roztkliwi się trzeci.

Kłamią panowie, bo tylko głód, widły i kij stanowią ich środki, stosowane mądrze a chytrze, aż do zupełnego ogłupienia zwierzęcia przez strach.

Lecz są silne natury, rozpacz nienawiści w nich

żyje, i zwierz pręgowany przez całe lata wodzi za pogromcą zmrużonemi oczyma, aż przyjdzie chwila, że rozpacz nim ciśnie...

Tymczasem jednak człowieka unosi zuchwalstwo. Znając ludzki gatunek, wie, czego potrzeba, by zyskać oklaski, wrażeniem grozy tylko zdobyć je może, zatem, podczas prób, osłoniony kratą bezpiecznie, drażni zwierzęta, a gdy mu lew na dany ruch jego nie ryknie dość przerażająco, tygrys nie parsknie dosyć złowrogo, wyzyskuje swą władzę wprost już nikczemnie i znęca się nad nim tak długo, aż rozszalały na kraty się rzuci. A wtedy nagroda, aż wkońcu zwierz kłamstwo zrozumie i kłamie — na tem »wielkiem, świetnem, niebywałem przedstawieniu«, kiedy ludzie biją za to oklaski, że »bliźni« dał im pewien przedsmak tej uczty, na której miał być poszarpany na ćwierci.

Wyszlachetniał duch ludzki?

O WIGILIJNYM ZMIERZCHU

Zimno, biało, gwarno. Zbladły codzienne, urzędowe światła przy blaskach, jakie płyną od poddasza, do suteryny z jarzących się okien. Chodnikiem suną ludzie w niezwykłym pośpiechu, jakby żwawiej mkną sanki ulicą, jakby głośniej dźwięczą brzękadła i śmiech. Raz wraz grzmot opuszczanych okiennic, i coraz szerzej nad miastem wznosi się jakby ulgi westchnienie. Zamiera praca i spieszą ludzie do radości spokoju.

Pierwsza gwiazda lada chwila zabłyśnie. Wigilia...

Z nią na całej polskiej ziemi radości hosanna. Coś błogo żywnego ciepłym prądem duszę przenika, a w myślach, troską zmęczonych, coś jakby szczęście, jak wiara, jak złota nadzieja, coś jakby zakwita... — A może...

Jedna gwiazda, a tyle rozpromienia jasności: lepsi zdają się ludzie, zapominają krzywd, uraz, biały stół wigilijny łączy zwaśnione rodziny, ucicha wszystko, co złe, w tem rozśpiewaniu dobrych, miłosiernych uczuć człowieka, tłumionych codziennie przez twarde, bezlitosne życie.

Gwiazdka — a z nią spoczynek, wszystkich spraw ludzkich i uczuć odmiana, jedno tylko głupstwo trwa bez wytchnienia. Niezrozumienie duszy i myśli, wiara w sprawiedliwość własnych wyroków. Puste serca, choć tkliwością mózgi nabite, — smutne, okłamujące się wzajemnie rodziny.

I dziwno im, że brak czegoś za stołem biesiadnym, gdzie jeden w myślach coś liczy, drugi poziewa, zaś mąż, ojciec boi się uczuć serdecznych, by nie zaszkodzić powadze, a tamci, ot siedzą, bo zwyczaj — albo wygoda, i ani dwa serca nie łączą się z sobą w jednem pomyśleniu, choć śmieją się twarze, jakby wspólną radością promienne.

I radzi, gdy w ciszę lub pustą rozmowę głos wdzięczny, dziecinny, z nieudaną szczerością uderzy...

*
* *

Już od świtu poczyna się gwar niecodzienny w piwnicach mieszkalnych i na skromnie zamożnych piętrach, zaś przed wigilijną ucztą potęguje się w przedstawicielkach płci względnie pięknej, bezwzględnie krzykliwej, żywioł namiętności przedświętnej, co jak groźna fala powodzi, po zniszczeniu całorocznych zbiorów wszelakiego śmiecia, ogarnia istoty żyjące, przedewszystkiem, tak zwanych panów domu, i wypiera ich z domu.

Namiętność ogarnia wszystkie stany niewieście. Oto kapłanka ognia »z pod blachy«, Maryanna-Wes-

ta, rzuca się jakby w pląsach Ś-go Wita. Twarz jaśniejąca, jakby natchniona, w oczach płomienie, w duszy duma bezmierna, a w sercu przepaść pogardy dla całego męzkiego rodzaju, bez względu na wspomnienia wczorajszego wieczoru, kiedy to ona, opoczystej cnoty Maryanna, upojona tonami harmonii, odurzona zawrotnym zapachem straży ogniowej, omal nie schyliła się w jego objęcia.

Ale jakże, kiedy właśnie po masło »leciała na duch«.

Podniecona równie »młodsza« — Józka, trze pełna zapału mak tradycyjny w misie, z którą się zwarła całem swojem jestestwem, obok — obfitość mamy w szlafroku, a wszędzie, w rozwianiu nietrefionych warkoczy, trzy córki. Tylko krasne halki migają, tylko świecą białe ramiona, a we wszystkich sercach miłości własnej poczucie, a ze wszystkich piersi pytające westchnienie:

— Coby *oni* bez nas robili?

Tatuś powiedział, że niezadługo powróci, a że to już zmrok pada, oczekują go z pewnym niepokojem wszyscy, z wyjątkiem zapłakanego młodzieńca, który, posiadając na piśmie, a wyrażone w cyfrach dowody niesprawiedliwości nauczycieli, wątpi o gościnnem przyjęciu, pomimo owej piątki z »Zakonu Bożego«, która na wstępie cenzury tak życzliwie usposabia czytelnika. I błąka się młodzian z kąta do kąta, pragnąłby odwlec chwilę boleści-

wej rozprawy, i rad, że nikt nie zwraca na niego uwagi, bo sprawą wieczerzy i pożywienia dni następnych wszyscy zajęci. Tu coś kipi, tu czegoś zamało, a tu na coś się czeka.

— Antośka nie wróciła od piekarza jeszcze?

— Po śmierć by ją posłać... — czyni przyjacielską uwagę jej towarzyszka i trze mak, aż zgrzyta, między dwa uda, zaparta donica.

Zjawia się jednak Antośka, niesie strucle i placki, dobro wszelakie, a razem nieszczęście w postaci »zakalców«.

— O, Matko Boża... O, Jezus... Dlaczego? — i zagłębiają się panie w dociekaniu przyczyn tej Boskiej kary, zaś młodzieniec korzysta z zamieszania i, pragnąc osłodzić gorzką oczekiwania zgryzotę, porywa z talerza garść migdałów, równie pełnych goryczy, jak życie.

Chwila zadumy, lecz co tam, jak cierpieć — to wiedzieć już za co, i sunął młodzian do tortu, skrzętnie oczyścił jego powierzchnię ze słodkiego kwiecia i barwnych owoców.

— Kazio, mamusiu... co Kazio... o jej!... — brzmi głos rozpaczliwy, i zanim nieszczęśnik przełknął owoc ostatni, już białe dłonie nad nim zawisły, już spadły, sąd doraźny się spełnia, i oto w tej chwili, gdy cud tylko mógłby wybawić małą szarą figurkę, zwijającą się w rozwichrzeniu spódnic czerwonych, zjawia się nagle ratunek, bo — tata, ach, tata, lecz jaki!?

Mamie czynne opadają dłonie, kamienieją trzy córki.

— Bój się Boga... Celestyn...

Zatacza się zlekka pan domu, radby wszystkich do łona przycisnąć, taki szczęśliwy, lecz widząc przerażenie, jakie wzbudza swym błogim, pogodnym uśmiechem, marszczy się groźnie, blade oczy wpija w małżonkę:

— W żłobie leży... uważasz... więc tego...

— Celestyn...

— Tatusiu!... — dwa jęki.

A z kuchni wysuwają się głowy.

— Uchlał się stary.

I na nic wigilia.

I wstyd w całym domu.

* * *

Gwiazdy wschodzą jedna po drugiej, już całe ich mnóstwo dla oka widzialnych, wiele więcej o wiele, niż pociechy i radości, nawet dziś, w duszach ludzkich.

Gwaru, śmiechów radości szczęśliwych cichy jęk biedaków nie zgłuszy, a nad wrzawą życia niewzruszony spokój śmierci się wznosi. W tym dniu weselnym zabiera ona życie niejedno, a gdy odejdzie jedyna blizka istota i zostanie człowiek samotny, w piersi pokornie się bije, kłamie ze łzami:

— Łaska to Boża.

Gwiazda za gwiazdą, a z niemi wspomnienia. I wstają wszystkie, zapomniane i żywe. I z mroków duszy, i z jasnej myśli, aż w końcu zawsze żal serce uściśnie, o błogosławionem, co było, głowa zamarzy.

Z wczesnych lat dziecinnych biegną wspomnienia, drobne nawet szczegóły dnia, minionego tak dawno, rosną w pamięci, tworzą cudne obrazy, a tak dokładne, jakby wczoraj przeszły przez życie.

Raniutko, jeszcze o zmroku, chłopiec już nie śpi, słyszy jakąś rozmowę, nadstawia ucha, przekonany, że mówią o gwiazdce, bo cóż ważniejszego? Ktoś — ale kto? Stary strzelec — Sylwester, taki z dużemi wąsami, z dużą strzelbą i w dużych butach, prawi w kancelaryi ojca tajemniczym, przerywanym głosem:

— Jaśnie panie... Są dziki. Od Kossowskiego lasu bez drogę, durch, nocne tropy: maciora i tęgie warchlaczyska przewaliły nocą. Zaś od nowego duktu śladek świeżutki, nie obsypany jeszcze: szedł pojedynek.

I słychać, jak dźwięknął strzelbą o ziemię, jak rad z siebie, odkasłnął, jak sunął dużemi butami jeszcze dwa kroki i już szeptem zapytał:

— Znaczy: szykować?

Ciasno w piersiach sercu, bo wali jak młotem: — żeby zabrali, ach — żeby zabrali!

Za chwilę słychać brzękadła, parskanie koni,

i psy skiełczą radośnie. Pewno Tomasz jedzie w kasztany, ale jakże zobaczyć, kiedy okna krzakami mrozu zarosły. Ucisz się serce, bo zebrali się ludzie, słychać rozkazy:

— Zakład od Kossowej Woli, ze strzelcami przy zagajach klamrować. Psów pilnuj, Sylwester i — jazda!

— Ino chłopcy, a sprawnie... — dodaje gajowy.

— Ma się wie, przecie wilija i do tego ponowek.

Śnieg skrzypi, głuchy turkot dalej a dalej, i ustał, a serce już ciche, jakby go wcale nie było.

Powrót — po kilku godzinach. Wspaniały odyniec zabity. Taka duża świnia, czterech ludzi ją dźwiga.

— A co? — mruczy Sylwester, wskazując na dzika: — moja głowa, czy nie?

— Ady wasza, wasza, któż wam zapiera.

Choć się ściemnia powoli, jak nigdy, ale już coraz bliżej do gwiazdki. Już parobcy i służba na ganku zebrani, i dla nich też przygotowano te stosy wszelkiego jadła, chust kolorowych...

I po kolei, według urzędów, każdy otrzymuje przeznaczony dla niego podarek, musi jednak wysłuchać nauki moralnej na tle wspomnień rozmaitych przewinień, zapisanych w pamięci.

Ruszył z gromady chłop rosły, pochyły. Mocny kożuszny duch wionął od niego.

— A... Porządkowy. Słyszałem, że drzewo kradnie.

— Jakie drzewo? — bo spytać się zawsze należy.

— No, drzewo. Nie wiesz, jak drzewo wygląda?

— Oj, dziedzicu, dziedzicu, — mówi z wyrzutem. — Toć pieniek zgniły, nie drzewo, a choćbym ta z krzaczek dla własnej potrzeby urąbał, toć przecie nie chojak, i prędzejby mi te paliće odpadły, nim pańskiego co ruszyć... Pieknie dziękuję.

Za nim, zawsze zaspany stróż nocny.

— Śpisz często w nocy, a potem jeszcze do południa... No, cóż, — może nieprawda?

— Prawda, jaśnie dziedzicu, naturalna prawda, że był taki trafunek.

— Upiłeś się w zeszłym tygodniu.

— Prawda, jaśnie dziedzicu, jak przed sądem prawda. Upiłem się, ale bez markotność właśnie, że me sen zmorzył, jucha. Niech będzie pochwalony...

Podchodzi biała, różowa Magda, a szczerząc piękne zęby, kołysze się zlekka i jakby zawstydzona, a jednak zuchwała.

— Oj, Magda, Magda, wstyd gadać przy ludziach, ale Boga obrażasz.

— Zaś Boga, — a cem?

— Dobrze ty wiesz. Za mąż oto byś poszła, kiedy ci się rai.

— Dziedzic o karbowym myślą, zaśbym tam chciała kaprawego chłopa.

— Lepszy taki, jak na wiarę żyć.

— Kiej słodko — na wiarę... — szepnęła cichutko.

— Ale grzesznie.

— Kiej słodko... — i tak jakoś błysnęła oczami w twarz dziedzicową bez trwogi, że dalsza rozmowa stałaby się uchybieniem dworskiej powadze.

— Masz chustę... Idź z Bogiem.

Mnąc szmatę czerwoną, odeszła. W gromadzie baby za nią splunęły, między chłopami szmerek przeleciał:

— Siarcysta!

Za nią podchodzili fornale i dwórki, a każdy, czemś obdarzony, idzie swoich ucieszyć. Brzmią śmiechy i żarty, a z oddali już leci:

— Hej, kolęda, kolęda!

A wieś cała, choć przecież ta sama, jakaś dziwnie uroczysta, biała, w nową szatę przybrana, a cicha, czeka na wielkie święto, z poważną radością, jak niezawodnego szczęścia pewna oblubienica.

Po białej przestrzeni dalekiego pola brnie człowiek w śniegu i śpiewa radosny. Gospodyni pokrzykuje na dzieci i łaje, lecz z myślą promienną, bo przecież choć i biedować, to słodko, gdy w kupie, a tu Pan Bóg jeszcze zsyła dzień taki jasny. Za chwilę już cisza ogarnia wieś całą, mrok górę już objął i dołem sunie po bieli. Okienka cha-

łup błyszczą blaskiem gorącym, za niemi ciężkie, niezdarne postacie. Wielkie dłonie, ciemne, a twarde, jak leśne korzenie, łamią kruchy, biały opłatek.

— Szczęścia i dobrej odmiany wom, stryjno.

— Niechże i wos i dziecka Pan Jezusek we zdrowiu zachowa.

— Niechajże, babo, bedzie ci letko.

— Niechaj i tobie, mój chłopie.

I do pocałunków się chylą.

A znowu, za chwilę, po śnieżnej, puszystej ponowie dzwon idzie, a idzie, — dogania.

Skrzą gwiazdy.

NA ŁÓDZKIM TORZE

Na »łódzkim torze«, bo już jest coś takiego, niby *St. Cloud* w okolicach Łodzi. Nazywa się Ksawerów. *Ksaverienhoff* właściwiej, bo wrażenie takie, jak gdyby zabawa odbywała się gdzieś na błoniach *Hoppegarten* lub *Weissensee, — bei Berlin, wo die Goldranunkel glühen.*

Ale my niemcy jesteśmy wszędzie — u siebie. Jako fala idzie gwar mowy niemieckiej, wszystkie dźwięki pokrywa, z orkiestrą kozacką się zmaga, — kto głośniej?

Rozpychają się, krzyczą, szerokie, gnaciaste, z gruba ciosane, mało rasowe postacie, a cała brutalna jaskrawość ich obyczajów uwypukla się jeszcze wyraźniej na tle tej zabawy, która koniecznie pewnej układności towarzyskiej, szczerze pańskiej miękkości obejścia, wymaga.

A szkoda, że przykre wrażenie dla ucha, bo mają kolor te łódzkie wyścigi. Barwnie, choć nie zawsze z dobrym gustem w porozumieniu, ustrojone panie, ogniste kurtki panów żokiejów, złoto-

połyskliwe końskie kadłuby. Nad niemi pełnia powietrza i blasków, spodem przestrzeń zieleni, a od niej odbicie, łagodzi, harmonizuje i łączy barwy w miłe wrażenie.

Przyroda, ani w barwie ani w dźwięku, brutalności nie znosi, ale czyż mocne są zboża poszumy zgłuszyć to, — *ho, ho,* — *ho! Herr Jessaes,* urągające bojaźni Bożej i wszystkim prawom poczucia miary i dźwięku?

Grzmi też ten śmiech szeroki, niby trąba powietrzna, coraz dalej a głośniej, i z pokorą w nim ginie *das polnische Knarrschen,* odzywające się z rzadka, jakby nieśmiało.

I dobrze jest tak, bo my — *ueber Alles!*

Zato pań urodziwych, a nawet wdzięcznych w mowie i ruchach, na tym nowym torze sporo. I młodych, i świeżych, i niewinnych, i winnych, i tych z wątpliwością powabną. A obok ojcowie, mężowie — bawoły, i aż dziwnie, jak to u ludzi kojarzą się różne gatunki. Żbik gołąbkę prowadzi, odyniec w poufałej zażyłości z łanią, a nastroszony wroniec oskubuje z wdzięków lilijkę.

Panienka w bieli, piękna jak kwiat, jak owoc ponętna, dzwoni głosem słodkim, pieściwym, niesie z sobą słodycze. Przy niej żokiej niebieski, zręczny i smukły, w oczach się jarzy kochanie, cichy uśmiech drży mu na ustach. Ale oto przerwana idylla.

— *Zwei Bierrr!* — grzmi postać za niemi,

płaska, jakby zdeptana, na krzywych nogach rozparta. Prze do bufetu. Białe zjawisko potrącił, niebieskiego żokieja na piwo zaprasza.

— Kto jest ten pan?

— Jakto? Pan nie zna?

A w tej odpowiedzi cała psychologia łódzkich stosunków, bo jakże można nie znać pana Kischke albo Feinera? jak można nie wiedzieć, że ów sportsmen chustki bawełniane wyrabia, dziad innego skórkami zajęczemi handlował, i wnukowi upodobania sportowe przekazał, a tamten ma skład nafty czy śledzi?

— Ale *en gros*, panie, *en gros!*

Dumni, wyniośli fabrykanci — panowie, a nigdzie na świecie tak pycha ludzka nie razi, jak w Łodzi. Skąd jednak ta pycha? — dlaczego? bo przecie mieć nawet dużo pieniędzy, to doprawdy jeszcze bardzo niewiele. To posiadanie, tu jednak, sprawia takie wrażenie, jakby stanowiło jedyną godność człowieka, było jego prawem jedynem do wynoszenia siebie, nad tych wszystkich, którzy nie mieli szczęścia do handlu i... ognia.

Ścisk, gwar na trybunie dla sędziów i prasy. Jakiś młodzieniec, dobrze żywiony, lecz źle wychowany, zwraca uwagę brakiem uprzejmości, tak właściwym wszystkim gatunkom dorobkowiczów i — rasie.

— Kto jest ten pan?

— Jakto? Pan nie zna? To nasz wielki wełniany manufakturnik.

I znowu nie znam, i znowu mi przykro, ale styl wychowania wystarcza do rozpoznania gatunku. Zatargów, nieporozumień mnóstwo, bo z różnych żywiołów zebrany tłum trudno się godzi. Tu i owdzie zaleca się zwykły gospodarski środek na poskromienie zbyt surowych obyczajów. Kończy się jednak tylko na obietnicach, i właśnie dwóch gentlemanów projektuje sobie wzajemne uszkodzenie poszczególnych organów, lecz odezwał się dzwonek, ruszyły konie.

Na ognistej klaczy sadzi jeden z warszawskich sportsmenów, ale znać i pan i koń, w towarzystwie nieswojem, bo nagle:

— *Aussgebrochen, — aussgebrochen!* — wśród tłumu uciecha. Koń się wyłamał, ubył współzawodnik.

Przyszła »Gitana«. Cichy totalizator coś płaci, więc ożywienia chwila, serc przyśpieszone bicie i — piwo.

Poza torem, między publicznością toczą końmi jeźdźcy nie—dzielni. Piękne ubrania, lakiery, przy nich ostrogi, a w sercach duma jezdecka! Wszystko w nich, na nich, prócz umiejętności z koniem obejścia. Postać złamana, jakby zgnębiona, głowa naprzód, ręce od siebie, nogi w puśliskach się plączą, jakby kto dwie puste nogawki, na siodle za-

wiesił, i doprawdy wobec takiej całości alegoryczny »pies na płocie« wydaje się zjawiskiem, pełnem rycerskiego wdzięku, i szlachetności wyrazu.

Ma też miejscowy właściciel ujeżdżalni, utrapienie srogie z kilku swoimi klientami, z których niejeden dłuższą, ciemną szatę na strój krótszy, barwniejszy, więcej sportowy zamienił, a choć łydki się trzęsą, ostrogi raz wraz łaskoczą boki wierzchowca, i strach niepokoi serduszko, duszę pycha rozpiera.

— Ja też jestem taki, co się nazywa — sportsmen.

— A ja panu konia odbiorę... — grozi właściciel.

— Pan się myli trochę. Ja zapłaciłem!

I zwija koniem bez potrzeby zgoła, a w umyśle, skłonnym do rozmyślań, porównań, wschodzi złote ziarno prawdy:

— Zawsze jest tak, kiedy frak wynajęty i krawiec właściciel, są na tem samem weselu.

— Ale ja zapłaciłem...

Rojno, szumnie i gwarno. Piwno, szampańsko. Dziedzice firmy i fortuny rozprawiają przy bufecie szeroko. Od czasu do czasu *Witz* jakiś w tłum padnie, grzmot śmiechu go wita. Stangreci na kozłach, po łódzku — »kuczery«, papierosy ćmią, nad panami radzą.

— Kapcan twój stary.

— A twój może ze ślachty?

Coś się w ich myślach przewija, jakby dawne wspomnienia, niedopowiedziane wyrazy, stłumione, twardą koniecznością służby, w nowych warunkach, u panów najnowszych. Lecz myśl krytyczna błądzi po mózgu, spływa na usta w pogardliwym uśmiechu, pod jasnym wąsem mazurskim.

— Hej, hej! — i myśl się wydziera do jakiejś Wólki czy Woli, gdzie to pan z panów, szóstką z kozła powoził, sam źrebce ujeżdżał, — miał serce do koni.

— A tego nie kupić; to we krwi trza mieć.

Z MROKÓW ŻYCIA

I.

ULICA.

Posępna chwila szarej nocy jesiennej. Mży deszcz. Cisza. Zrzadka głuchy pomruk z zaułków przyleci, bliżej chrapliwe przekleństwo, jęk płaczu, a po nim rozpaczliwe, zdławione: — Nie bij, za co mnie bijesz... i — śmiech.

I spokój, ten dziwny spokój, w którym coś drży, coś się skarży, coś kłamie, i strach idzie od niego a jeśli w trwożne serce uderzy, już gna w ciemną pustkę ulicy, gdzie nagle budzą się głosy, jakby w cichych murach, do czasu, zaklęte.

— Panie, panie, — godzina?

— Kup jaśnie hrabia pierścionek!

— Ady go Wicek, bier paleto z frajera!

I tuż obok, z ciepłym oddechem, pokorne:

— Do mnie, paniczku.

Ale strach pędzi i człowiek ucieka; w domu dopiero, gdy bezpieczny odetchnie, ślad trwogi z białego czoła zetrze fularem, a prawa małżonka gorące usta mu złoży na skroni pobladłej:

— Uspokój się, skarbie... — wtedy dopiero przytomność odzyska — i gromi:

— Cóż za ohyda! Nocne hyeny! I już pióra się jął, już pisze, a najgoręcej o tem, w czem sam nie bez winy: o ćmach nocy, zakałach, wstrętnych igrzyskach, o tem, że dusza się wzdryga: *jego* żona i córka zmuszone są patrzeć na te sceny zwierzęce...

Lecz porzuć pióro, panie człowieku, pozbądź z serca trwogi, spojrz w życie i własne sprawy też zbadaj.

Zaczem trwaj w uwielbieniu dla siebie, lecz nie ufaj samopoznaniu, — patrz w życie.

*
* *

Ulica. Zimna, długa, oślizgła smuga. Gdzieniegdzie blask jakiś na niej migocze. Zgubiony blask, jakby z minionego dnia, tutaj pozostał. Smuga biegnie daleko, a tam — rozpływa się w szarość, z której wyłaniają się gdzieniegdzie napojone wilgocią obrysy niebieskawego przezrocza.

Brzegami, w równych szeregach pudła niezdarne, — wysiłek prac ludzkich, kres marzeń, duma i godność — smutne kamienice.

Zwarły się mocno, wsparte o siebie, siłę czerpią dla podstaw, jak ludzie, co jednych zasad za ręce się jęli i idą, głośni wielkiem hasłem wspólności wobec celów publicznych, wszakże każdy my-

śli o sobie, nie ustąpi na cal, choćby przed jego towarzyszem rozwarła się przepaść.

Niech ginie, zewrą się wnet, bo ludzi wspólnych zasad nie zbraknie, byle korzyść przed niemi. Byle był — plac.

A gdy zejdzie noc, gdy zawrą się bramy, pogasną światła, rolety zsuną na okna, i zamrze myśl wysilona codzienną walką o więcej, gdy w sennych marzeniach czarowne, nigdy niedościgłe »dosyć« się zjawi, gdy wyłoni się ze swej zimno ponurej ciemnicy stróż i po dniu pracy pocznie bezsenną noc, — wtedy spodem cichym kamienic budzi się życie.

Chyłkiem, jak dziki zwierz, gdy nocą wysunie się z legowiska na żer, sunie pod murem kształt ludzki. Tak się wydaje, że pod ziemią wolałby iść. Zbliż się do niego, zwinie się, skuli, oczy bolesne, lecz gdy zmrok wsiąknie już w miasto, cienie pogłębi, coraz zuchwalszy już kształt, za nim wielu podobnych już śpieszy, a zespół tworzy już moc.

Pędzi Warszawa z krańców ciemny swój lud i wraz porywa w krąg nocnych spraw snujące postacie.

Od północy wzmaga się fala. Nowy Świat, niby wielka tętnica, a Chmielna — serce.

Spojrz w serce, luby człowieku porządny, znajdziesz tam ludzi swego gatunku. Mieli czyste sumienia, czyste hipoteki i uczciwość bez skazy, a jeśliby który z nich umarł: sto wieńców »zac-

nemu mężowi« i wzmianka: »zgon kirem nasze społeczeństwo okrywa«.

Lecz oto, pewnej chwili, zabrakło im środków na utrzymanie tej uczciwości-zwodnicy. Droga to pani, do stroju, do zbytku przywykła, a niech tylko niedostatek w oczy jej zajrzy, zdradzi cię wnet, jako i tamtych.

I oto gardzi nimi świat, powiadają, że jeden komuś coś ukradł — i tak nierozważnie, że bez prawnej opieki, drugi każdą twą sprawę, której obawiałeś się dotknąć, swojem pośrednictwem omota, a inny — tak wprost, od ofiary...

Lecz bądź pobłażliwy. Czas przyjdzie, odmienią się losy, i ci sami, od których dzisiaj twarz z pogardą odwracasz, spojrzą na ciebie z wysoka. Życie wartko się toczy, niby kula olbrzymia, tu chmarę ludu przykryje, w błocie uszarga, bez ratunku zda się, innych zato na wierzch dobędzie, znów wróci po tamtych i górą wyniesie, a niech tylko trochę obeschną, ustroi w dostatek, zaszczyty.

Ale noc niesie ciągle nowe obrazy.

— Na bok... na bok! — rozpędzona dorożka wpadła w Chmielną ulicę. Gwar, klekot podków, śmiechy. Zdarte szkapy zatrzymały się nagle i chrapią, jakby z nich ostatni dech już uchodził. W mig, do wachlarza dorożki chłopak podleciał.

— Jaśnie dziedzicu, bukiecik dla pani mecenasowej.

Na ramieniu wątłego buchaltera wsparła się bujna, strojna, malowano-złota, przeszła szpalerem przesiąkłych stajnią dorożkarzy, a za nią smuga mocnego zapachu.

— Mańka, zła krew, jak się to zerzła.

— Dobra dziewucha.

— A któż jej co ujma? Honorowa jest.

— Nie kursówka, nie, nie... Nie z paniów... Wiela razy i sama pojedzie, — piątka za kurs... — i dorożkarz, zważywszy srebrne ruble na dłoni, szerokim ruchem kożuch odgarnął, potem zbolałemi szkapami półkrąg zatoczył i stanął w kolei.

Chwila i znów dorożka do oświetlonej bramy przypadła i znów uwagi krytyczne.

— Starawa jakby, ale piersista.

— Nie szkodzi, bo to z achtorków.

— A cóż?

— Lubieją goście stare achtorki, ale żeby we ścierwie.

— Ho — ho — ho!... — śmiech biegnie długim szeregiem do Brackiej i wraca z obrazowym dodatkiem:

— Som takie grzyby — purchawki. Ha — ha!

Z nocnego szynku — raz wraz towarzystwo, rzadko para samotna. Budzą się szkapy z uśpienia, łby w górę, z pod kopyt skry, i już gnają, jakby w nich ogień, bo wszystko tu kłamie.

Nagle zjawia się w bramie honorowa Mańka.

Przy niej trzech chudych dragonów, zziajanych, dyszących, z brzękiem i gwarem.

— Marya Andrejewna... Ej, Maszka! W Sielanku?

— Wali!

Choć nie z kolei wyparł Andrzej dorożkarz, targnięte szkapy osiadły na zadach.

I znów w towarzystwie uciecha, bo oto sunie wątła figurka opuszczonego »buchaltra«. Podniósł u palta kołnierzyk, do ciemnego szeregu jednokonek się zbliża.

— Za dzienny, — na Gęsią.

A obok pod murem ktoś wzdycha:

La donna e mobile... Cholera!

Dziwi przechodnia ten kawałek włoskiej opery, choć okraszony rodzimym dodatkiem, zbliża się więc do szarej postaci.

— Ach, — Adaś... Nie poznałem Adasia.

— A właśnie... Adaś do usług... Program wyścigów, pocztóweczki oryginalne, podniecające. Adresik panienki, — córka marszałka szlachty, chwilowo w przejeździe, polityczna broszura bardzo ćciekawa... — i zwija się niepozorna figura w ukłonach, rzuca niespokojne spojrzenia.

— Nie zestarzał się Adaś.

— »Młodości, orla twych lotów potęga«. Na sznapsika jaśnie pan coś ofiaruje. Właśnie mam do zalania robaczka, przytem boli niewdzięczność.

— Czyja?

— Ludzka, psia ich... człowiecza. Mańka oto z dragonami poszła. W górną publikę, w książęce moście, choć nie naszego klimatu, już wsiąkła, ale Adasiowi nawet nie kiwnie tym łbem farbowanym... A któż, jak nie Adaś? Adaś ze śś — mietnika, na Lipowej — to podniósł, dał światopoznanie, ogładę, a ona cholera, — puch marny, wietrzna istota.. co gadać. Cegarko dla Adasia, jeżeli łaska... i już do przechodzącej dziewczyny się zwrócił:

— »Kochanko luba, naco nam rozmowa?«

— Idź, idź... Kołowaty.

— »Jam z twych liców, z twych uśmiechów«, jam dochody brał... — i poufnie się zwierza:

— Bardzo porządna dziewuszka. Prymasort, ale — bez taktu, i żadnej manicury. Pocztóweczki mam, bez symulacyi, sprawiedliwa natura. Papier kompromitujący wysoko postawioną osobę. Koncesya na jednodniówkę. Pewniaczek murowany, na wyścigi za rubeleczka... — i nagle:

— »Wraca z miasta od panicza« — wskazując na przejeżdżającą w wielkim pierzastym kapeluszu.

— Czekaj-no, Ludka!... Dobrej nocy panu dobrodziejowi życzący.

Jasno oświetloną bramą barwna fala płynie. Kolorowe płaszcze, białe pióra, zrzadka brylant zaświeci, gęściej łańcuchowe, szerokie bransolety migocą na tanich rękawiczkach niciannych. Spodem,

żółte, białe trzewiki, jaskrawe halki, w koronkowe składy. Rozbawieni panowie, cylindry, modne paltoty, często z rękawów wyrobnicze łapy, a z angielskich spodów, wielkie, sękate gnaty, wepchnięte w lakiery. Gdzieniegdzie z »towarzystwa« pani, szatki uniosła, ostrożnie przechodzi, żeby jakiej »lafiryndy« nie dotknąć, i jakieś stare, w czerni, przydeptane jejmoście, z wypiekami na twarzy.

Gwar śmiechów, kobiecy pisk, półżydowski szwargot, i: — *kauf mir die kleine Bonbonniere* i — »jak Boga kocham«, — gromkie, szlacheckie, i — »napłewat'«, i *dis donc, mon petit chat, tu m'aimes?* i »idź pan na zbitą głowę«, — plączą się oderwane zdania, w które, jak piorun huknie, od czasu do czasu, lapidarne dorożkarskie słówko, wyjaśniające komuś pochodzenie, po mieczu i po kądzieli...

A z poza węgłów, z paszcz ciemnych bram, śledzą ten pochód płomienne, złe oczy ubogich dziewczyn ulicznych. Zawiść aż kotłuje się w nich, na usta schodzi ostatnim wyrazem przekleństwa, które zawsze zbyt słabem się zdaje, boć tylko powołanie określa, zaś dalej, niestety, już nie sięga obelga.

Pada jednak w samą twarz twardy wyraz, ton tworzy tu pieśń, — z tłumu wydziera się białopiórna, strojna, gniewem dysząca, już we włosy dziewczyny się wpięła.

I przewalają się w błocie ulicznem, aż chrapią i boczą się konie.

— »Mówią, że są na ziemi anioły białe z skrzydłami białemi«. Za pirze, Marychna... Panno Karolu, nie daj się pani.

Odźwierny guzik nacisnął, zgasła kula płomienna, bo — »nieprzyjemność«.

* * *

A gdy skipi już pijana, brutalna wrzawa ulicy, gdy mdły świt zsunie szare płaszczyzny na miasto, — spływają męty. Z nor wyłażą stworzenia prawdziwie nieszczęsne, co jakby już na świat przyszły z przekleństwem. Niejednej w dzieciństwie nie zmógł tyfus głodowy, przytuliła ją zimna, beznamiętna katorga życia, odarła z praw ludzkich, niekiedy zostawiając uczucia.

Nędzne, bezduszne, jakby unurzane w czemś lepkiem, cuchnącem, wloką istnienie, bez myśli, bez słów, prócz przekleństwa, ale i ono, ponuro bezdźwięcznie spada im z ust.

I snują się posępne cienie, od rogu do rogu, z głuchym wyrazem zachęty, poniewierającym jedyne najszczersze, żywiołowo mocne człowiecze porywy. Snują się leniwe, jakby grzęznące, a w myślach przygasłych jedna troska, jedna obawa, że gdzieś w suterynie szynkowej na pieniądze on czeka. Nędznej, skopanej w malowaną twarz bluźnie:

— Już mię, suko, nie kochasz. Już innego znalazłaś...

Nie kochasz.

Smutna ulica o świcie, i smutni zjawiają się ludzie. Zwolna przewala się nocna dorożka, brzęczy i zgrzyta, jakby nią ból ciągły, jednostajny szamotał. I tak się wydaje, jakby dorożka skazana, od wielu lat już się tak wlecze.

Na jakimś rogu sam koń się zatrzymał, łeb zwiesił, na krzywych nogach się chwieje, a człowiek nad nim, oczywiście i z batem, patrzy w pustkę ulicy osowiałemi oczyma.

Z czarnego wnętrza bramy nocny stróż wyszedł, leniwie się zbliżył, za nim po chwili policyant krokiem miarowym. W szarej futrynie sklepowej poruszyły się trzy, cztery postacie utulone do siebie, bo zimno, a u dorożki poczyna się powolna, jakby z musu, rozmowa:

— Psi czas.

— Oj, czas, tak czas...

— Węgiel, powiadają, drożeje...

— Wiadomo.

— Kartofle, mówią, pogniły.

— Głód, nie daj Bóg. Głodny człowiek najźlejszy, ot tobie służba.

A milczący dorożkarz nagle ziewnął szeroko:

— Hej, są takie ludzie, co śpią tera w cieple.

— Nu i zagadał... — śmieją się długo, stróż nocny, policyant, choć nie do śmiechu im wcale.

Inna rozmowa w sklepowej futrynie: szept z krótkim oddechem:

— I co? I co?

— I nic... Zbił mię, stratował, zesinił — i powiada — masz.

— A ty?

— I cóż ja poradzę, kiedy mam serce do niego.

Zadumały się dwie, trzecia, pestki dyni spluwając, pochyliła głowę, zapłakała nagle, ciepły opar od niej uderzył.

— Cóż ci tam znowu?

— Z powietrza.

— Bo i psi czas.

— Oj czas... czas.

Zaturkotał wóz piekarniany. Już bliżej, wielka buda z grzmotem się tłucze. Koń syty, wypoczęty, rwie sporym kłusem, furman, otoczony kłębami dymu, potrzaskuje z bata.

Zatrzymał się opodal, w okienice sklepiku jął walić.

— Dzień dobry — paniusi.

— Dzień dobry.

Świeża, jak maj, gładka piekareczka, otulona w chustki włóczkowe, posunęła ku sobie kosz bułek pachnących, rumianych, zagłębiła w nim ręce.

— Cztery, — osiem, — dwanaście.

Dzień.

II.

NA KRANCACH MIASTA.

Póki się Polska jeszcze z nieszczęściem nie zżyła, nie zrosła z niewolą, wszystko, co smutne, złe, krwawe, szło do niej od Pragi.

Tędy Szwedzi do Warszawy się darli, tu *Carolus* nad losem chwiejącej się już Rzeczypospolitej radził, tu, sto lat temu z górą, walczyła rozpacz z zimnym uporem bagnetów. I rozpacz omdlała, a straszny dowódca dał wyrok na tłumy bezbronne:

»Niech czują, że umierają!.

Z owych chwil ciężkich ponury smutek przywarł do Pragi i choć przeszły przez nią pożary, powodzie, a zmieniał się wygląd zewnętrzny, została dusza smutnego przedmieścia; i choć pijaną radością zakipi ulica, zawsze smutne ma oczy.

W tych oczach światła ledwo migoczą, — długi szereg bladych ogników w czarnej ulicy; a tam na wydmie piaszczystej, której mróz nie uściśnie, a wiosną chwast nawet nie zdobi, — dom z dala od innych, samotny, jakby przeklęty, patrzy ciemnemi oknami w puste przestrzenie. Dalej rząd fabryk — potworów, zjeżonych, w nocnem zamyśleniu zamarłych, a za niemi, jakby garścią kto rzucił, bez ładu, bez składu padły niezdarne chałupy. Nędza sklepików do nich się tuli, a w przybudówkach,

komórkach cisną się kłęby ciał ludzkich, barłogów pościeli. Ubogi warsztat gdzieniegdzie, szewcki zydelek, na ścianach obrazy mąk Jezusowych za ludzkość, pod niemi z męką głodu i chłodu zmagają się ludzie. Bo rzadki tu bogacz, a jeśli się zjawi, z tysiąca nędz, moc życia czerpie, bujnie wyrasta. Jak cmentarny dąb.

Izby małe i wielkie, a w nich gryzą się ludzie, a prócz matki nie kocha tu nikt.

Nędza, zbrodnia i praca, — różny świat uczuć, lecz na ustach jedna nienawiść: człowiek syty tu wróg.

Ciepło w izbach pod zimę, na kominach jadło się praży, słodkie pary kłębią się w mroźnem powietrzu ulicy. I ludzkie głosy: kaszel, rwący uparte życie z nędzarzy, przekleństwa, co wydzierają z mroków myśli człowieczej wielkie słowo rozpaczy — niezgodny dźwięk w tej pieśni bujnej, radosnej, jaką drży huczne, pyszne życie Warszawy.

Czasem fałsz szerzej w pieśni rozdźwięknie, wtedy w pląs idą ludzie.

Bal dobroczynny. Skoczna muzyka, zwijają się w barwne koła i kręgi doskonale ubrani panowie i panie, jak kwiaty. Potem cisną nędzy garść złota. Nędza chciwe ręce wyciągnie, lecz na ustach ma jeszcze zjadliwsze przekleństwo za ten czyn miłosierdzia, co powstał z szału balowej uciechy.

Raz jednak pękł pieśni dzwon, gdy uderzył

w nią strach, a wtedy rozśpiewały się dziką uciechą zaułki, w skocznej muzyce katarynek, harmonii, rozebrzmiały przedmieścia, i poczęły się gody: Solec wziął Warszawę w tan, za nim rozpląsała się Wola, z Burakowem Czyste, i ruszył Kamionek...

Krew — krew! Wesolutko.

. . . .

Zaczem na krańcach Warszawy dni, noce wesela — i jakby blasków przyrosło, bo zdało się pracy, że z mroków wyzysku wstał nad nią świt, nędza godów zażyła, a nad zbrodnią i kradzieżą wzniosły się aureole szczytnych posłannictw.

Lecz na harmoniach nie udały się podniosłe melodye i dźwięczał z nich fałsz, a gdy osłabł wątły mózg ludzki pod ciężarem wielkich zamysłów, nagle śpiew zmienił się w pijany wrzask...

Zwolna przygasły blaski, na przedmieścia padł mrok... i znów po dawnemu... choć pijaną radością zakipi ulica, zawsze smutne ma oczy.

Ale trwa w mózgu wspomnienie, żyje w myślach nadzieja, że rozlegną się jeszcze śpiewem przedmieścia i pójdzie w pląs krwawy stara tanecznica — Warszawa.

*
* *

Tam, gdzie ulica Sliwicka z sąsiadką przecięte Stolarską, Kamienną, Brudnowską tworzą jakby klin, ostrzem do rogatki zwrócony, — tam trakt umarłych i żywych, szlak smutków i ludzkich radości, do cmentarza wiedzie.

Świt listopada. Siódma godzina. Jedzie pan Balcer, w czarnej wielkiej budzie wiezie »komplet» na Brudno. Konie, truchcikiem wloką, po wybojach budę za sobą. Coś w niej kołacze, skrzypi i zgrzyta. Bo waga nielada, bo trumna przy trumnie, i w każdej po trupku, w każdej jeszcze dziecko jest w nogach. Czasem i dwoje, gdy mizerny nieboszczyk.

Zgarnęli to dzisiaj, o świtku, na Teodora w kostnicy — i jazda! Psia służba, same »niezgłoszone« trupki. I poco taki żyje na świecie, kiedy nawet po śmierci niema z niego profitu.

— Wi-jo, kare!

U furty cmentarnej zatrzymał się Balcer. Dziad grabarz wstał z ławki leniwie, sprawdził »cedułę«; po chwili ksiądz z kancelaryi się zjawił. Coś szepnął do siebie, a może z chłodu drgnęły mu usta, wzniósł kropielnicę miedzianą, i w stronę czarnego pudła, jak buzdyganem, nią skinął; ani jedna kropla nie padła.

— Zamarzła choroba... — westchnął siny zakrystyan, w podniesionym kołnierzu, z białą chustą na uszach.

Ksiądz znowu coś szepnął, pan Balcer cmoknął na konie.

— Przez wody się także obejdą! — i ruszył w głąb drogi cmentarnej, gdzie kończy się bruk, a poczynają piachy, gdzie drzewo nie rośnie, gdzie pustka żałosna, gdzie, nie daj Boże, leżeć człowiekowi po śmierci.

— Ile gałgaństwa? — ktoś pyta.

— Komplecik.

— Żeby cię frybra! a ja tylko pięć dołów ukopał.

Rad jest pan Balcer z cudzego kłopotu, bo niech się i drugi pomartwi; ale godzą się z troską, klną zmarłych i zmarzłych biedaków. Białe trumny już w doły zepchnięte, i jeszcze jedno wzdardliwe przekleństwo — i jazda!

Z idącym dniem ożywia się nieco droga na Brudno. Człek jakiś przyniósł pod pachą jasną trumienkę, spłakana baba przy nim słucha wyrzutów — bo niby i poco do rodzenia dzieci się bierze, kiej niezdarzona! Za nimi w siwą szkapinę, cztery deski w drabinkach i — kwestya, bo »nieformalnie« chłop umarł i »źle opatrzony«, a od miasta już ciągnie »siódemka«, tak nazwana z racyi istniejących klas sześciu pogrzebowej pompy.

Tu z nieboszczykiem także ceremonii niewiele. Koń sporym stępem idzie, za nim troje dzieci drepcze z jakąś babiną i pies, odpędzany co chwila.

Ktoś tam płacze w tej garstce, choć rzadko za »siódemką« ktoś płacze, ale niechże tam sobie byle bez hałasu, bo i taki się trafi, co tyle gwałtu na cmentarzu narobi, jakby mu z »pierwszej klasy« ktoś umarł.

Rozumieją jednak ból ludzki grabarze. Oto druga klasa się wlecze. W pióropuszach konie, żałobnicy w lampasach, karawan pod wieńce, a za nim czarny tłum ludzi. Jakaś drewniana zaduma schodzi wtedy na twarze grabarskie, woskowy smutek na nich zastyga.

I znowu »siodemka«, i »trzecią klasą« ktoś jedzie, i znowu ktoś godny sunie na Brudno, a tam już pogrzeb się skończył, żałobnicy podkasali płaszczów, jak czarne drapieżne ptactwo, obsiedli karawan i jadą truchcikiem. Rozwiewają się kapy, i widać koszlawe szkapięta, które przed chwilą tak dumnie potrząsały głowami, i dzwonią blachy i śmiech, a z czarnego karawana nagie, zimne kłamstwo się szczerzy.

Bywają i ludzkie bóle tejże godności, co i śmiesznie drygający pusty wóz śmierci: nie wierzy im nikt, choć mają w sobie i ponurość, i czarność.

Są jednak łzy na świecie, są bóle serdeczne. Niezapomniany krzyk kochającej dziewczyny i suche oczy matki nad grobem jedynego dziecka. Dlaczego jednak, najboleśniejszy ten pogrzeb, za którym nie idzie nikt?

Zdawałoby się, że ból nie trwa w człowieku, lecz w rzeczy. Stukot brył ziemi, rozbijających się o wieko trumienne, zawsze straszniejszy, niż jęk.

* * *

Lubi człowiek, aby przy wrotach śmierci był szynk. Z nieobeschniętemi oczami tam śpieszy, aby żal swój ukoił; inny znów pije, bo roztkliwia go wódka.

Nie zamykają się drzwi. Jedni na miejscu, drudzy niosą wódkę w zacisze — bo pocóż to obcy ma patrzyć na żałość, co to suszy człowieka i rwie, jak ten pies...

Za stołami gromadki, gromady. Po westchnieniach, żałosnych wspominkach, znowu westchnienia i chwila ciszy. W te przedziały właśnie leje się wódka. I znowu ktoś wzdycha a inny:

— Tak... tak... Każdemu z nas koniec.

I wódka w tem miejscu.

Wreszcie z najsmutniejszych ust pada jakaś kwestya spadkowa. Rozgorzały wnet oczy, i chwila, a sypią się już zarzuty:

— A siostra jeszcze ciepłą poduszkę z pod matki wyciągła.

— Nibyto brat mało rzeczy z domu wynosił?

— I jeszcze śmierć ze stancyi nie wyszła, a siostra rondle zabrała.

— Toć je będę musiała pobielić... Truciznę

wam miałam ostawić? I już niech brat tyle nie mówi, bo któż to w domu najwięcej robił zmartwienia? kto mamę wpędził do grobu? — i rzewnemi zalewa się łzami.

— Ale siostra rondle zabrała.

Obok to samo: łzy, przekleństwa i wódka; a w kącie, w półmroku godność żalu na twarzach i zgoda w uczuciach, bo chodzi o to, aby coś razem zagarnąć, wspólnemi siłami nie dopuścić reszty rodziny.

— Oni nigdy dla nieboszczyka serca nie mieli.

Od południa zgiełk rośnie, całują się, szarpią się ludzie, a nieraz pięść zaciśnięta zwraca się w stronę cmentarza. Chwilami, gdy wrzawa umilknie, tylko brzęk jednostajny izbę ogarnie, z pod ściany wybija się płacz rozrzewnionej babiny, która została sama na świecie.

— Jak ten oto paluszek, państwo kochane...

U lady szynkowej tylko spokój niezmienny. Żałobnicy czarnym rzędem tam stoją — statyści tej sztuki, której ludzie dają kir czarnej grozy, żeby była straszniejsza.

Ale straszne tylko jest życie. Schodzi ono o zmroku w szynki cmentarne. Po szumnych godach na cześć śmierci, schodzi ponure, bez bólu, bez łez. Schodzi czasem bez głosu, i zamiera szynk w ciszy, choć leje się wódka i siedzą ludzie, blizko skupieni, przy sobie.

A potem idą ludzie w cichą, ciemną ulicę, idą miękko, jak koty — i ktoś ich spotyka i pada bez jęku.

I minie noc, a na pustej ulicy pierwszy zwiastun życia się zjawia z łoskotem: — wóz z prosektoryum.

Jedzie pan Balcer z kompletem na Brudno, tłuką się o siebie »niezgłoszone trupki«. A dziecka w nogach.

III.

LUDZIE.

W wielkiej ludzkiej gromadzie, której ogólnie właściwą cechą jest chciwość, istnieją liczne gatunki. Gatunki te jednak nie różnią się między sobą ani uzębieniem, ani budową czaszek, ani kształtem pazurów, mają wspólne cechy zewnętrzne, lecz każda z ludzkich postaci »w oczach i w duszy, coś różnego niesie«.

Najczęściej spotykanym jest człowiek *pospolity*. pyszny, krzykliwy, we wszystkich sprawach jaskrawy, lub sztuczną powagą nadęty. Lecz często obleka się w szarość, szczęśliwy, gdy nie wybija się niczem wyraźnem nad tłumy, radby nigdy uwagi nie zwrócić, przejść bez szmeru przez życie, skonać bez jęku. I nie zostaje nic po nim, lecz owo nic, puste, bez barwy, bez kształtu, zwie się w gromadzie tego samego gatunku — cichą zasługą.

Bo duchem i ducha kwiatem — zasługą — różnią się ludzie, wszelka zaś cichość w ich sprawach zawsze wskazana. Ciche kradzieże trwają przez życie, ale — »z włamaniem« jest karane doraźnie. Ludzkość nie lubi szerokiego gestu.

Sprawuje rządy, wydaje wyroki, głosi opinie, oczywiście, tłum pospolitych, lecz poza nim istnieje jeszcze cały świat mroków, a w nim ludzie z płonącemi oczami...

Tysiąc gatunków, lecz ogólno-ludzka pokrewność ambicyi i żądz łączy tu w jeden zespół wszystkie uczucia, w jedno dławiące pragnienie wszystkie cele, ofiary, w jeden krzyk wszystkie jęki:

— Pieniędzy!

I oto, czy z pokornym wyrazem u drzwi możnego pana, czy w zuchwałej spekulacyi handlowej, gdy ciska się cześć własną i cudze mienie na niepewne losy, czy w zaklęciach i błaganiach aż do upodlenia, czy z pałką i nożem w ciemnej ulicy, zawsze człowiek ten sam, — i czy usta mu drżą, czy zgrzytają kły, czy błagają ręce, czy za gardło dławią, zawsze jedna, niczem nieposkromiona żądza w jego duszy wre:

— Pieniędzy!

A gdy już posiadł ten, który prosił, i ten, który brał z życiem, i ten, który *z niczego,* ale uczciwie — jak gdyby to było możliwem, — gdy już zdobyli pozorne zapewnienie bezmyślnego spokoju

i tę błogą pewność, że ani się płaszczyć, ani kraść, ani kłamać już nie potrzeba, wtedy jakaś pustka w życiu się zjawia, z nią wstaje drzemiąca chciwość syta, brzuchata i szepce:

— Za mało.

A przytem strach, bo wokoło ręce drapieżne i chciwe oczy, i skradają się ludzie. Ten, który już posiadł, odwraca się od nich ze wstrętem i grozą. Ci znów z kolei patrzą z pogardą na gorszych od siebie — a gorszy jest każdy, kto słabszy, a niedość chytry, czyje mniej twarde ramiona i serce lękliwsze. Jak w puszczy.

Jak w puszczy, zwierz rozmaity na Woli i Pradze. Tu się rodzi, tu wzrasta, a potem na szlaki miastowe, gdzie tępieją pazury, a zaostrza się myśl.

*
* *

Czasami jednak życie tak zdepce człowieka, że zdusi w nim zwierzę. I już żadnych pragnień w nim niema: wszystko jedno, gdzie barłóg; jeść — nie jeść, mała różnica, a nawet ta resztka ludzkiej pociechy, że ktoś gorszy od niego, z myśli uciekła.

Słania się taki łachman od szynku do szynku, wreszcie gdzieś, jak zabłąkany pies, gdy przesunie się chyłkiem, a nikt nie zwrócił uwagi, skuli się w czarnym kącie i patrzy nieruchomie głodnemi oczami na szumny byt ludzki, chłonie potraw za-

pachy, lecz ani przez myśl nie przeleci, by ucztę mógł dzielić.

Wreszcie niegłodny, i wogóle — nic, trwoga tylko myśl zdrętwiałą poruszy, gdy mu z gości ktoś rzuci:

— No, stary, czas i tobie do piachu.

Bo kocha życie.

W szynku »pod czerwoną gwiazdą« był taki dziad rozpaczliwy. Przywlókł się kiedyś w jesienną wichurę i w kąt wcisnął, lecz snadź pomiarkował, że miejsca nie godzien, pod stół się zsunął, bał się własnego oddechu, łachmany zgarnął na łeb.

Rankiem nad kłębem gałganów zastanowił się chwilę parobek.

— Kie licho, przez głowy? — i potrącił nogą, aż jękło.

Wtedy dziad wysunął łeb wielki, kołtuniasty i zębami zakłapał tak strasznie, że chłopa przeraził.

Potem mu dali robotę przy kuchni, i jakoś z szynkiem się zżył.

Kiedyś, przed laty, powiada, że był taki pan, Józef Michasiak. Niby on, ale gdzie zaś takiemu panu do niego! Na całym Solcu go znali. Para koni, dorożka i sanie. Wszystko miał dobre i ładne. Poco mu było się żenić? Ale czy to kto wie? Nikt nie wie... Co gadać, — był Stasiek, jego pomocnik, a trzeciego roku, o wiośnie, zołzowały konie, zaciągnęło się jakoś nieszczęście — i baba, — wiadomo

co... Na oczach się całowali bez wstydu. Zupełnie, bo i jego gnali z łóżka do stajni, a oni w izbie. Może i nic, ale ludzie się śmieli, więc wypił, siekierę wziął. Oj, bili, bili, aż padł i nogę jakoś podwinął. Tak wzięła nogę rychtować, ale rychtowała na ból, zaś potem wyrzucili już całkiem, bo do roboty niezdatny, a dzieci: idź, dziadu! I nic — i tak sobie łazi, i niewiadomo, ale jak tak wszystko rozważyć, to — nic.

A jak się tak dziadzisko ugada, łeb zwiesi — i już tydzień nikt słowa od niego nie słyszy. Potem sam zacznie, jak było.

Czasem go ktoś wódką częstuje — nie pije; czasem kawał kiełbasy mu rzucą — podniesie, w papier zawinie, sznureczkiem omota i schowa. Mówią, że dzieciom rozdaje.

Ktoś go kiedyś zapytał: coby też chciał mieć? Pomrugał oczami, zamyślił się chwilę.

— Niby jak: chciał?

— No, cobyś chciał mieć? Żeby tak kto chciał ci co dać.

— Aha... Ja sam jemuby dał.

— A cóż?

— A wszów, bo już za bardzo mię jedzą... — i zaklekotało coś w nim, jakby kto glinianemi skorupami potrząsał.

Zdawało się, że ten dziad rozpaczliwy, kulawy, kłapiący zębami od chłodu, co na całe życie go

przejął, łachman, w którym już nic nie pozostało ludzkiego prócz kości, zdawało się, że nie ma żadnych pragnień i nie wzruszy go nic — ale oto pewnego dnia wszedł do szynku dorożkarz i za stołem siadł.

Przeobraził się dziad, zerwał, jakby z odrętwienia odżyły, zabiegał, usługującego chłopca gnał, sam nadskakiwał.

— Bo wy nie wiecie... — szeptał drżącemi ustami — wy nie wiecie nic.. — i z zachwytem, aż mu trzęsła się broda skudlona, patrzał w twarz rozpartego gościa.

Gdy zaś ten sporo już wypił i jeszcze zażądał, dziad, który bał się własnego tchnienia i stołki omijał, aby ich łachmanami nie dotknąć, sunął nagle za bufet, gospodarza szarpnął zuchwale i radosny, w stronę pijącego wskazał:

— Co... Stasiek?

— Kto taki?

— Stasiek, Stasiek... Ady co z moją żyje... Para koni i sanie... Chwat chłopak, uszanować go trza. Bo-ogaty!

Zakołatały szczęki starego, nagle z oczów bluznęły łzy.

— I kunie stoją... u restracyi... dwa wałachy sierdziste... I w poszanowaniu u ludzi, w honorze... I za moje piniendze... Hurra!

I odżył stary, gdy sprawdził, że żyją *jego* pie-

niądze, że nie rozproszyły się po świecie bez śladu. Lecz gdy zbudziła się w nim pycha i tak się nad wszystkich wynosił, że stał się w szynku przeszkodą, pewnego dnia jesiennego parobek twardą garścią za brodzisko go jął — i, choć dziad kłapał zębami, na ulicę nim szarpnął.

— Paszoł, familiancie — dziadu!

* * *

Jest na Pradze dom, zwany »Bristol«.

Na uboczu dom stoi, nie dowodzi to jednak, aby w historyi spraw ludzkich zajmował stanowisko podrzędne. Niejeden mąż znakomity tu się narodził, niejeden młodość tu spędził, a prawie każdy z wybitnych działaczów podgrochowskich okolic, z myśli i serca coś tu zostawił, — choćby na ścianie budynku, w podwórzowem ustroniu, jakąś życiową przestrogę, szkic symboliczny, czy pamiątkę miłosnych uniesień, w słowach prostych a męskich.

Lecz i bez tego żyją w pamięci mieszkańców zasłużone nazwiska, niektóre z nich unieśmiertelniły się w pieśni, jak w pozgonnem wspomnieniu na cześć ś. p. Zdankiewicza Feliksa, obrazowo malującem zgasłą działalność:

»Felek nie gapa, żywo nóż roztworzył,
Pchnął Szadurskiego, do Fuchsa przyłożył,
A że miał potem on czasu troszkę,
Kazał się zawieźć aż na Czerniakowskę«.

A któż nie pamięta Antka Dyrdziaka, co z harmonią spał, Buły, co pięść miał, jak bochen, Olszewskiego, Millera, a której serce nie rozpływało się we łzach po Zielińszczaku Franku?

Toć on, do wszystkiego majster, poprzez kraty więzienne, rzewnym głosem zawodził:

»Kochanko, kochanko, serca kamiennego,
Kochanek w więzieniu, nie przyjdziesz do niego?«.

Na co odpowiadały mu zgrzytem obrażone uczucia:

»Nie będę kochała,
Nie będę płakała,
Nie będę, z wałówką
Pod Pawiakiem stała«.

Lecz cichy, niepokaźny domek nie odzywa się nigdy głosem piosenki, ani gwarem zabawy. Jakby w nim życie zamarło, a choć ciężko dyszą natłoczone izby, lud jakby bezgłosy. Strach nad porządkiem tu czuwa, to też w tak strzeżonym domku nie przydarza się nic, coby mogło na mieszkańców zwrócić uwagę. Bo czy to wiadomo co, z czego? Człowiek się czasem potknie o wiórek, i już belka na łeb mu spadła. Więc i komorne w terminie i papiery w porządku, do świadectwa moralności włącznie.

Żadnych zwad, nieporozumień rodzinnych; a jeśli się już zjawi konieczność jakiej rozprawy, jeśli

już tak rozpuściła się baba, że niema sposobu, to ją pan mąż wyprowadza spacerkiem na błonia...

Do apteki wstępują z powrotem.

— Gulardowej wody za sześć.

Jeśli między mężami nieporozumienie wynikło, warkną tylko głucho na siebie. Wiedzą, gdzie się spotkać wieczorem, a wtedy - kto kogo? Nad kim pierwej nóż błyśnie?

Ale niech się tylko wygoi, »odegra się« on.

Latem niestały mieszkaniec »Bristolu« buja zwykle po łąkach, po lasach, wieczorami w szynki podmiejskie zapada, tam w ciemnej bramie z małżonką dwa słowa, owoc nocnych zabiegów — zawiniątko do garści, i — idź, idź!

Pod zimę dopiero ostrożnie do nory się skrada. Wie o tem, że niebezpieczne jest zawsze legowisko stałe, i nic nie wart człowiek, gdy śpi. Przyjdą, nakryją, a nim oczy otworzy, już obrączki na rękach.

I rozpowiadaj im, bracie, gdzieś bywał, coś robił przez lato, jak ten, co to jeździ na wody, a potem prawi, gdzie chodził, co widział.

Gdy zaś mróz ściśnie na dobre, a tata nie wraca, mać rusza gdzieś w miasto, bo przecie trza żyć, a nad dziećmi już tylko sam Bóg.

Rojno jednak w domku pod zimę. W suterenach, na piętrach, w podwórzu, wszędzie izby, klitki, komórki, wszędzie tłoczą się ludzie, cisną do ciepła, do jadła, do baby, po dniach słoty, niewygód-

I poczynają się jęki pod zimę. To łamie, to rwie, to żyły coś targa z ojców rodziny. Bolą krzyże, wątroby, a przeważnie »wszystkie bebechy«, i nie pomaga błogie ciepło kłębów, z prażonej kapusty, ani gorące wódki ze smalcem. Zawodzą jękiem izby »Bristolu«, a z wichrem zimowym huczy kaszel na różne głosy i syczą zjadliwe przekleństwa.

Lecz i tutaj, wśród mroku bólów i żądz, a pod grozą kary, która nieruchomie zawisła nad domem w pustkowiu, niby chmura gradowa, nawet i tutaj każdy kimś gardzi, każdy tu lepszy, a z kimś nieskończenie wyższym od siebie nie rad się równa, bo honor ma *swój*.

Tu się nad innych wynosi »meliniarz«. »Majcher« nosi w cholewie, »partaniną« się brzydzi, zna tylko »dużą robotę« i »oblatuje mu klawo«.

Po nim »doliniarze« — lud słaby, cherlawy, lecz na wszystko ma rozum, każdego »nabije w butelkę« — i dlatego patrzy z wysoka na brać, co »szuchtę« zbiera po przedpokojach, lub »pajęczarzy«, co na strychu dopiero, ledwo zdołałą coś ukraść.

Dla nich znowu »szpryngowiec« — nie człowiek.

— Urwie chłopu z woza pięć jajków i już go bury targa do młyna.

Zaś najmniejszego poważania w »Bristolu« zażywają młodzieńcy, którzy czerpią dochody... z miłości, — bo to i gałgański i niepewny chleb.

Ci także na gatunki się dzielą:

Pospolity, (nieco twardo w gwarze przedmieścia nazwany), któremu opłacają się dwie, trzy ofiary, za co on je otacza rycerską opieką, od wyzysku broni i drugi — »czarodziej«, zazwyczaj, blado urodziwy, kudłaty blondynek, tropiący zamożniejsze robotnice, służące, aby je zwieść obietnicą ożenku i ubogie grosze, często kilkanaście rubli zaledwie w sienniku zaszyte, wyłudzić.

Taki się zwie, że »głową pracuje«, więc oczywiście uznaje swą wyższość.

. . . .

A każdy z tych mrocznych pracowników ma jedno marzenie: oto chciałby stać się »porządnym człowiekiem«, lecz uznając, że w życiu do wszystkiego »trza mieć od Boga sposobność«, każdy pragnąłby, wtedy, mieć sklep lub fabrykę...

IV.

DZIECI.

Dom na pustkowiu. Jakby uciekł od miasta i ludzi, w te okolice, gdzie, jak powiadają, inny już Bóg, inny już lud, niepotrzebny mu kościół, ani ślub, ani chrzest, zaś dzieci, pono rodzą się ślepe.

A dom, jak to dom, — do innych podobny, tylko niby człowiek, co skryte w nim myśli i w oczy nie patrzy, okna ma w pole zwrócone, zaś od widoku, szare, deskami zabite ubóstwo.

Błonia po bokach, w środku kamionkowskie jeziorko, a wzrok na lewo obrócić, — las niedaleko. Nie daj Boże uciekać, ale jest gdzie; ktoby jednak tam czekał do chwili ostatniej, wreszcie zwykle wiadomo, co kiedy, i gdy nocna obława ruszy od miasta, a dotrze ustronnej siedziby, zastanie już tylko śpiących staruszków, uznojone trudem dziennym matki, przerażone dzieci.

Aż przykro, że człek biedny, pracowity, wody nie mącący nikomu, nawet w nocy nie ma spokoju.

Zaś gdy się we dnie sprawiedliwi zjawią:

— Gdzie Józek?... — groźnie zapyta pan starszy.

— Nie znamy.

— A pan Kwiatkowskij?

— Nie widzielim na oczy.

— A Kozioł?

— Taki nie mięszka.

— Nu, a wasz pasport?

Bez skazy, bez zmazy książeczka.

A wokoło stukają młotki w każdej izdebce. Tu szewc, a tam stolarz. Dziadek, a i ten plecie słomianki, dzieci przy książce, gosposia schylona nad balią.

Lecz oto już poszli nieproszeni goście. Ucichły młotki, robotny gwar ustał, gospodyni z nad balii głowę uniosła. Straszna, pobita, obrzękła.

— Do starego gibaj-no, Franek!

I sunie chłopak z izdebki, a za nim od sąsiadów

i Mańka, i Józek, aż tętni na schodach, i w skok pędzą przez błonia, do zacisznych kryjówek, do ojców, z wieścią pomyślną:

— Poszli kadryle!

Bo niema tu zgoła tajemnic, i ledwo się dziecko »tata« mówić nauczy, wie o tem, że tata jest złodziej.

A potem, gdy nieco już starsze, rzuci w twarz mamie: kto mama...

A mama na to chłopięciu, czyj syn — i ukropem mu w twarz.

Lud Boży, — rodzinka.

*
* *

Wartko pędzi tu życie i uczy, co trzeba, jak trzeba, żeby coś urwać z ubogiej radości. I żadnych tu marzeń, a — zjeść — jedno pragnienie.

Nie matki kochanie tutaj myśl budzi, lecz głód, i zanim usta dziecinne, — chleba! — wymówią, już małe opuchłe rączyny grzebią w śmietniku, a rozum pierwsze doświadczenia zdobywa, że szkło ręce kaleczy, a główki śledziowe zabiera silniejszy.

I czasem mały człowiek żyje czas długi tylko własnym sposobem. Ojca nigdy nie widział, matka w świat poszła, a choć to ciche, nigdy nie płacze, nie zna co śmiech, — któż weźmie do domu pomiot złodziejski? Czasem mróz tylko, dobrodziej uśpi, utuli, a rankiem ktoś znajdzie w śmietniku twardy, nieruchomy kłębuszek łachmanów.

— Dyć dziecko.

— Ano trza do policyi... — i już nie wzrusza nikogo ten lodu kawałek, w którym jeszcze wczoraj się tłukło drobne, zbolałe serduszko... bo czyż to mało swojej zgryzoty? Zaś jak ziąb przyjdzie, to nie przebiera... dziecko, nie dziecko... na co trafi żyjące, to ściśnie.

— Ale śmierć letka.

— A pies ją ta wie.

— Cha, cha!

* * *

Pod płotem szara gromadka. Pryskają guziki, huczy gra w »mońce«. Tu pierwsza zaprawa do życiowych zapasów. Guzik — kapitał, chciwe oczy go śledzą. Jaki on jest, i do kogo należy? Czy »owijak«, czy »gładź«, i czy trzeba go wygrać, czy też — pięścią między oczy, — bez gry...

Rej wiedzie syn zieleniarki — »Kapustos«. Rzucił w grę cały kapitał. Opadające go części ubrania sprawnie dłonią przyciska, żeby śmiechu nie było, a drugą celuje ostatniego »pocztaka«.

— *Va banque!* — jak mówi przy kartach klubowiec, i rzuca garść złota. Jedzie »Kapustos« na wszystko, bo drogi jest guzik.

Dźwięknął, zatoczył się, — leży. Dziesięć dłoni w tę stronę, — i mierzą.

— Piądź!

— Niema piądzi.

— Ale jest.

— Ale niema... Psia twoja...

I już się zczepili, zakotłowało się w piachu. Dwie chude nogi w majtkach płóciennych, to górą, to dołem. Czarny łeb się szamoce, ręce, jak szpony, się wpięły we włosy, lecz uderzeuie w nos koniec stanowi, bo do pierwszej krwi walka.

— Jest piądź!

— Niema piądzi!

Otrząsnęli się gracze, toczą wzrokiem po ziemi, — niema »pocztaka«.

Już go dzisiaj nikt nie zobaczy, a jutro toć przedawnienie, wreszcie aniby nie śmiał się upomnieć pokrzywdzony »Kapustos«, bo czyż to jeden »pocztak« na świecie!

Nawet nie ma prawa do głosu, bo nic nie posiada. Majtczyny w garści trza nosić, a wogóle cóż wart człowiek, który nie posiada ani jednego guzika?

— Nie przeszkadzaj, śmieciarzu!

A jeszcze przed chwilą, — pełne kieszenie. I »orzełki«, i »trąby«, i »pazie«, teraz zaś, — choćby »ipek«, ale skądże go wziąć? a tu zabawa, jak nigdy, aż dzwonią kamienie, aż drży cały płot, — huczy gra »w mońce«.

I wczas życie naucza:

Błogo temu, kto ma wszystkie guziki.

* * *

Każda zabawa tu kształci, w każdej musi być treść, jako w życiu sól, a choć pedagogicznych gier nie zna tu nikt, zawsze przyjemność z pożytkiem się splata, jak z owocem kwiat, — zaś bez trudu nic. Zdawałoby się, że tak łatwo ze straganów kraść jabłka, a jednak i ta pierwsza dziecięca rozrywka, samopomocy pierwiosnek, aby w czyn zakwitł, nie byle przemyślności wymaga.

— Do tego, proszę pana, trza mieć dziecko uczone. Trza je wypucować u pompy do czysta, bo ludzie lubieją, co czyste; a potem bachora na bazar, że niby targuje, przebiera, a wszystko »dla bajcu«. Tymczasem my z boków: co się da, to się goli, ale dziecko musi być bystre, żeby spotrafiło wziąć babę »na kant«.

I oto idzie gromadka. Przodem dziewczynka, włoski ma jasne, przyczesane gładziutko... aniołek; jakaś kolorowa szmatka na głowie, smutne oczęta, a w rączce dwa grosze.

Dzień dobry, babusiu.

— Dzień dobry, dziecinko.

— Jabłuszko niech, mi da babcia.

— Dobrze, dziecino... Jakież ja tobie jabłuszko?... Czerwone... — I krząta się babina za ubogim straganem, bo kogoż nie wzruszy jasnowłosy aniołek?

— A czyjaż ty jesteś córeczka?

— Ja, babciu, sierotka.

— Moje biedactwo... Wybierz-że sobie jabłuszko.

Aniołek wybiera, odwraca wzruszonej babci uwagę, a z boków już suną łapy drapieżne...

— Co się da, to się goli, byle dzieciak dobrze trajlował.

Czasem jednak nie uda się coś, babcia ręce załamie, że takie to małe, a takie gałgańskie, i wtedy winna oczywiście dziewczyna. Zatem na razie »za pirze i w oko«, poczem wzgardliwe wyłączenie ze wszystkich zabaw, jakich dostarcza podwórze.

Smutne podwórze, otoczone płotem koszlawym, gdzie każda deska inna, a każda na wydarcie zimą skazana; rząd komórek w tym stanie, jakby trzęsienie ziemi tu przeszło, a gdzieś w samym rogu zacisznie, najwięcej ożywiona miejscowość, niby plac tennisowy w parku angielskim, lecz śmietnikiem nazwana, dla odróżnienia od całości podwórza, gdzie spoczywają gnijące koty, jakby zadumane nad swą samotnością trzewiki, rozprute kalosze i inne wolne, lub przywiązane do miejsca przedmioty, do towarzyskich zabaw służące.

Cały widomy świat biednych radości, wśród urządzanych gdzieś w drwalni, choć nigdy w pierwowzorze niewidzianych »teatrów«, lecz jakże uduchowiony ten świat, bogactwem z życia branych obrazów, jaki przez to ponury.

Zabawa w »męża i żonę«, więc ślub przedewszystkiem. Panna młoda niesie na głowie strzęp pracowicie wygładzonego papieru, wianek »merto-

wy« z chwastów podwórza, i stąpa dumnie, jako że wlecze ogon za sobą, — kawał starej tapety. Goście weselni: praczki, gospodarz domu, pan rewirowy, »jeden pan«, do kościoła idą parami na ślubny obrządek.

Chwila podniosła, uroczystość, wzruszenie, a druchnom dziewczynkom aż serce zamiera.

Obraz drugi, tu znów chłopak bohater.

Mąż-ojciec wraca do domu pijany z komórki, a mama z rozpuszczonemi włosami. Płacz, lament, ale ojciec za włosy włóczy, po ziemi i kopie. Zazwyczaj zbyt się rolą przejmuje i szczerym płaczem wybucha dziewczyna.

— No, więc głaskał cię będę, żeby była nieprawda.

— Tak, tak... Dobrze odstawił, a ty nie jazgocz, bo i przez teatru po łbie dostaniesz... — uspokaja skrzywdzoną ktoś z »publiczności«.

Poczem, aby była ciągłość wypadków, nie pomija się w trzecim obrazie żadnych szczegółów zgody małżeńskiej, zaś w czwartym: »Jak się dziecko rodziło«.

. . . .

A potem chrzciny, więc »bal«. Na wydobytych ze śmietnika skorupach okruszyny cukru, posiekane liście i artykuł poważny, jadalny: zbierane skrzętnie pestki od śliwek.

Potłuczone starannie między biesiadników go-

spodyni dzieli; chciwie wyciągają się do niej brudem porosłe, krwawo spękane ręce.

Lecz smutku i łez, niechaj nikt tu nie szuka.

*
* *

— No to, jak stara zległa i urodziła Marychnę, tata nie był na chrzcinach, bo i jakże miał być, kiedy w kreminale mięszkał. Pilim bez niego. Długo taty widać nie było, w roty poszedł czy co, aż tu wyszedł manifes, że niby o trzeci raz darowane mają, i — właśnie narodził się Kaźmirz.

Bój biedy stara. Bo choć jezdem szczeniakiem, nie zapieram się wcale, ale dobrze ja wiedział, co jest. Obleciał ją strach, zerwała się z piór, — i już nie wie, co, jak. Ani jej spać, ani jej chodzić, a Jędrzejek nic, tylko łazi po stancyi, kurzy świcenta, pośpiewuje sobie:

»Cztery konie na most, cztery konie z mostu —
Dostałem kochankę niedużego rostu,
Niedużego rostu, lecz dobrego zdania —
Dobra do wypicia, dobra do kochania«.

Rozpaliła się mać, że niby ona ma taką zgryzotę, a on przyśpiewuje do Józki; skoczyła, jak ta maszyna — i za klapy go.

— No i co? Co tera bedzie?

Trząchnął sobą — pojechała stara na piec, ale znowu już przy nim, garnek z warem ma w garści.

— Co tera? Bo ci te ślepia... — ale Jędrek je-

dną ręcą za garnek, drugą za pirze, świeżego świcenta zapalił, — i swoje:

»Cztery konie na most, cztery konie z mostu«...

Więc po dobrości z nim matka: Tak, i tak, co niby będzie?

— Niby z czem? — pyta.

— Ano, jak stary...

»Cztery konie na most, cztery konie z mostu«...

Taki nie do wytrzymania był chłop.

A tu starego tyle, że patrzyć, a Jędrek precz chodzi, precz kurzy, stara stancyę pucuje i jęczy, bo w niej jeszcze ból siedział. Ulitował się Jędrek, bo nie był znowu twardego serca, i mówi jej tak:

— Niema czego się boić... Ja płacę komorne, więc ja tu lekator.

Na to wychodzi. No to ucieszyła się mać, że Jędrek tak honorowo się stawia, a ja po »dwudziestkę« poleciał i »szrubowali« w noc, i Marychnie dali na sen.

Aż tu się stary objawił na samo południe. Pana Jezusa pochwalił, jak zawsze i siadł, spojrzał po izbie, — już wiedział, bo aby mądry jest stary. A mama w ten mig do skwarków się wzięła, bo lubiał.

Rozpowiadał to, inne i bardzo biadował, ale pewno tak wszystko »do pucu«, bo znagła się pyta:

— A czyjeż to drugie? — Niby Kaźmirek.

No, to ja widział, jak pod mamą zachodzili nogi... oj, oj!... ale nic.

— Tutejsze... — powiada. — Na wychów...

A Jędrek przepił do taty.

Zaś zjadły skwarki do czysta, i tata układł się spać, a stara myślała, że — dobrze, ale ja wiedział, że jeszcze nie koniec, bo stary ich tylko »biere pod włos«, a cały klajster się zrobi na wieczór.

Ale nie wyszło nic, bo jak wzięły pić, a przyświadczać ten temu, ten temu, tak tylko było krzyku, co matkę po wódkę ganiali, i szło całowanie, i zgoda, tylko żeby pomięszkanie honorowie do spółki, bo słabowity jest tata i nie może wydołać.

A świtkiem oba mamę zeprały.

* * *

— *Mademoiselle...*

— *Eh bien, mon cheri?*

— *Ditez donc...* czy to prawda, że bociany dzieci przynoszą?

— *Mais, si, si...* U was bociany, a u nas znajdują się w polu, w kapuście.

— *Merçi, mademoiselle Berthe.*

TAM, GDZIE KOCHAŁ KOŚCIUSZKO

(Nieco historyi i wrażeń z Podlasia)

Nie z panów, lecz panem się mienił *ostatni* z hetmanów, Imć Józef Sosnowski, wojewoda połocki. Z szarego szlachetki zrodzony, urósł w karmazyna, do godności splendorów parł się człek próżny, nie bacząc na środki. Przedtem jednak zdobył fortunę, co pod owe czasy, w przededniu rozszarpania Polski, zgoła trudnem nie było a wielce kuszącem, jako że wielkiej cnoty musi być człek, by z rabowanej przez innych chudoby nie wyniósł czego na własny pożytek, tem się przed mało frasobliwem sumieniem salwując, że przecie i tak owe dobro na zagładę skazane, czego zaś on nie uratuje z opresyi, łacno człek inny, a mniejszej zasługi, zagrabi.

Zaś im więcej do upadku chyliła się uboga, stargana ojczyzna, temci gęściej rosły magnackie fortuny, a gdy wieść poszła od Dniestru po Karpaty, że Polskę za dziesięć tysięcy czerwonych złotych i sobolową szubę przedano, i syci już byli najbliżej króla i polityki stojący, przekupni senatorowie i posły kłamliwe, ten i ów i dziesiąty z chu-

dopacholstwa, jął się zdrady — pańskiej roboty, a gdy mu rząd sąsiedzki pensyę wyznaczył, ziemią obdarzył, dla zachęty, szczodrze, wnet już, przez hańbę, z panami się zrównał.

Tak ci wyrósł na pana — nie z panów, Imć Józef Sosnowski, dziedzic Sosnowicy i Ratna.

I nie byłoby go poco wspominać, bo smutną pamięć Jegomość hetman po sobie zostawił, lecz imię jego z innem, bohaterskiem związane, i jako w przyrodzie, gdy światło z cieniów wykwita, temci blask jego świetniejszym się zdaje, tak w życiu promienna zasługa, dziwnym, a częstym trafunkiem z ponurym występkiem, gdy pod jednym zamieszkiwa dachem, promienniejsza jeszcze. Zaś historya jedno imię z drugiem kojarzy, a temci gorzej dla złego, bo żyć będzie w ludzkiej pamięci tak długo, póki w niej wytrwa uwielbienie dla cnót bohatera.

. . . .

Jedno z podań*) głosi, że Kościuszko pierwszy raz poznał pannę Sosnowską na balu u kanclerza Jędrzeja Zamoyskiego w Warszawie, najpodobniejszą jednak do prawdy zdaje się być relacya pewnego Litwina, który w swoim opisie kampanii, pod generałem Sierakowskim w r. 1794 poświęca długi przypis wspomnieniu młodzieńczego porywu

*) *La Pologne Martyre. Paris, 1862.*

Kościuszki. *) Pisze on, że tenże zaproszony przez Sosnowskiego, chętnie ofiarował się dawać lekcye rysunków, początków matematyki i historyi powszechnej, córce swojego protektora, Ludwice. Przy codziennem godzin kilku przepędzaniu, uczuli ci młodzi ludzie skłonność wzajemną, że zaś krewna Sosnowskiej, Karolina Zenowiczówna, przytomna zawsze była tym lekcyom, trafili na taki sposób wzajemnych sobie oświadczeń, że młody Tadeusz co miał powiedzieć Ludwice, zwracał się do Zenowiczówny, skłonność do niej udając, panna zaś potwierdzając, albo podnosząc według uczucia własnego odpowiedź krewnej, swej pasyi otwierała serce i wzajemną wzniecała w kochanku.

Sytuacya ta, przypominająca jakby scenę z komedyi, nie ma nic takiego, czegoby nie było w rzeczywistości, bo przecież pierwszeństwo wynalazku zawsze się należy kochankom, od których dopiero pożyczali autorowie. Bojaźń narażenia się ambitnemu ojcu, przepaść towarzyska między kawalerem bez fortuny i wielkiego imienia, a panną, liczącą się do pierwszych partyi, zmuszała zakochaną parę nieraz do podobnych wybiegów, byle tylko pod zasłoną tajemnicy jak najdłużej używać lubych niepokojów, zwierzań się i niedowierzań, przysiąg i wyrzutów, znaczących spojrzeń i zdradliwych

*) Ks J. Kitowicz. Pamiętniki.

rumieńców... Zaiste potrzeba było pewnej sztuki maskowania się zimną obojętnością, lub mamidłami salonowej galanteryi, żeby nie popaść w podejrzenie tylu interesowanych świadków, otaczających młodą panienkę. Wszakże cichy ten romans nie mógł liczyć na długie bezpieczeństwo, czuł to zapewne i sam kochanek, którego męski otwarty charakter zżymał się na tę konieczność udawania i ukrywania uczuć, nie potępiających go, ani wobec Boga, ani własnego sumienia, lecz przez wzgląd na ukochaną osobę niepodobna było jawnie wystąpić, lub wybuchnąć. Nie pozostało nic innego, jak znaleźć protektora, któryby kochanków wziął pod swoje skrzydła, i albo perswazyą starał się zmiękczyć rodziców, albo, gdyby ci pokazali się nieubłaganymi, od ich gniewu i zemsty zasłonił.

Pasujący się z własnemi myślami Tadeusz, do kogoby się tu udać, coby mógł przeważnym wpływem zwalczyć opór pisarzówny, znalazł tylko dwie osoby, nadto wysoko stojące, aby ich wdanie się nie rokowało pomyślnego skutku. Jedną był książę, generał ziem podolskich, dawny jego komendant, drugą król, który mu zawsze przychylne pokazywał oblicze i pysznił się tak zdolnym wychowańcem swojej szkoły. Nie wiemy, czy domowników pokątne szepty o tej jego skłonności, czy też wzajemny niecierpliwych kochanków układ, dość, że naraz pobudziło go coś do prędkiej decyzyi. Jakoż, udając

pilny interes, wyjechał do Puław, gdzie, przypomniawszy się księciu, który go przyjął z otwartemi ramiony, wyznał mu całą tajemnicę serca, opisał gwałtowność pasyi, położenie, dumę ojca, marzącego o świetnym maryażu dla córki, a więc przeciwnego na zabój podobnemu związkowi, w końcu napomknął o postanowieniu porwania panny, zgadzającej się na ten krok gwałtowny, który w owych czasach dość często się praktykował.

Książę, przychylnie dla zakochanego usposobiony, przytem wielki z natury przygód romansowych amator, przyrzekł go wspierać i bronić, wszakże radził wprzód zwierzyć się królowi, który wcale formalistą nie jest, owszem chciałby, żeby uboższa a wykształcona młodzież żeniła się z pannami magnackich domów, a tem samem modyfikowała wyobrażenia i zwyczaje, będące przeszkodą do zaszczepienia pożytecznych reform.

Kościuszko, pocieszony dobrem słowem księcia, ruszył do Warszawy, gdzie, jako dawny kadet, łatwo otrzymał wstęp do króla. Stanisław August przyjął go z całą życzliwością, wysłuchał serca spowiedzi, lecz zamiast pobłażania i otuchy, z właściwą sobie wymową zaczął mu wybijać z głowy ten niepotrzebny sentyment, który zakłócał spokojność zacnej rodziny, jemu psuł najświetniejszą karyerę, a rękojmi szczęścia nie dawał, pierwsze bowiem wybuchy miłosne, zaczynające się od pogwał-

cenia świętych stosunków rodzinnych, często kończą się bardzo prędkiem rozczarowaniem. Lubo król mówił, jako doskonały w sztuce kochania praktyk, argumenta jego odpadły, jak od ściany groch. Młodzieniec wysłuchał tych rad ze spuszczoną głową, podziękował dobremu panu, ale w gruncie rzeczy nie myślał wyrzec się ani uczuć swoich, ani planu, jaki sobie ułożył. Pozostając, na jakiś czas, w stolicy, miał sposobność widywać się z kolegami i przyjaciółmi, a ci, zauważywszy jego melancholijne usposobienie, przytem zmianę cery, pytali o przyczynę. Nacierany, przyznał się im i wyspowiadał z wewnętrznego stanu, kto wie, czy nie prosił o radę i pomoc.

— Jeżeli ci panna sprzyja, — rzekł na to któryś, — to ją wykradnij, a jak nas tu widzisz, jesteśmy na twoje rozkazy. Rodzice będą zrazu ciskać pioruny, poruszą niebo i ziemię, potem przeprosić się dadzą, na czem zazwyczaj się kończy.

Do podobnego kroku, często nasuwającego się myślom zrozpaczonych kochanków, jako jedyna ostateczność, niewiele potrzeba: dość, żeby ktoś rzucił słowo zachęty, a już czują się usprawiedliwieni przed opinią i sobą.

Najpewniej też w Warszawie, w gronie usłużnych kolegów ułożono plan uwiezienia panny i zrobiono potrzebne przygotowania: powóz wygodny, rozstawne konie, zręcznie skrzyżowane poszlaki,

ksiądz umówiony, i wśród gór, lub borów tajemnicze gniazdko, mające parę uleciałych ptaszków przytulić. Do takich wypraw, często powtarzających się, miano wiele zręczności: wszystko szło, jak z płatka. Na nieszczęście czy szczęście, dyskretne słówko, puszczone w stolicy, doniosło się do króla, który, przypomniawszy sobie wyraz silnej determinacyi, dostrzeżony w twarzy Tadeusza, gdy go ostatni raz widział, był pewnym, że mimo perswazyi pannę porwie. Jakoż natychmiast ostrzegł Sosnowskiego, będącego w wielkich łaskach, aby się miał na ostrożności i córkę schował przed natarczywością kawalera.

Podobno pan pisarz litewski nie był, podonczas, w Sosnowicy, ale umyślnego posłał do żony, polecając jej, aby dla uniknienia gotującej się katastrofy, natychmiast córki z domu wywiozła. (Obiedwie dla wszelkiej pewności). Prawie jednocześnie, gdy ten list ostrzegający przyszedł do pani pisarzowej, a ta wydała rozkazy do najśpieszniejszego wybierania się w drogę, zjawił się Kościuszko, w sosnowickim dworze.

Widok niezwykłego ruchu między służbą męską i żeńską, przelatującą dziedziniec, kręcącą się po pokojach i wynoszącą tłomoki do stojących przed gankiem powozów, te zatrudnione fizyonomie, ten gwar i zamęt, towarzyszący podobnym wyjazdom państwa, wszystko to zdziwiło i zmieszało gościa,

jakby ukłótego w samo serce niedobrem przeczuciem.

Znalazłszy pootwierane drzwi na oścież, wszedł do sali i zastał tam panią pisarzową, mocno zalterowaną na jego widok. Powitanie było nader oziębłe, rozmowa sucha i urywana, jakby z natrętem. Skonfudowany kawaler, odpowiadając na zapytanie: — pocoś tu waćpan przyjechał? — które ciągle czytał w oczach pani, zaczął mówić coś o intencyach swoich względem panny Zenowiczówny, od której ma przyrzeczenie... — że teraz radby ostateczną powziąć decyzyę... — że los... że przyszłość jego od tego związku żależy... że...

Zapewne niedługo męczył się na tej konfesacie, bo pani pisarzowa widocznie nie miała ani chwili do stracenia; nie wypadało więc przedłużać wizyty, zwłaszcza, że krew gwałtownie biła mu do głowy, a w piersiach głos stygnął... W takiem położeniu zapaść się o sto sążni pod ziemię — byłoby dobrodziejstwem dla nieszczęśliwego...

Nie było co dłużej popasać. Pożegnał się i odjechał, bez sposobności zamienienia choćby ostatnich spojrzeń z ukochaną osobą *).

I tu koniec romansu, lecz gdyby mu dać tło czasów dzisiejszych, rozpocząłby się właśnie, jako że panna Ludwika wkrótce potem oddała rękę innemu.

---

*) Lucyan Siemieński.

Ale Kościuszko ból w sercu zaparł, pojechał walczyć za niepodległość Ameryki.

Nie postało pewno mu w myśli, że mógłby pozostać: człek był ze spiżu. Kwiatów miłości nie wiązał z laurami, jak raszyński bohater, co po nocy miłosnej dzień sławie wojennej oddawał.

. . . .

O miłości Kościuszki, o porwaniu jejmościanki pisarzówny, błąkają się po dziś dzień na Podlasiu liczne legendy. Lud tamtejszy wskazuje nawet mostek na rzece, gdzie jakoby konni z pościgu dopadli karocy, uwożącej kochanków. Na temże miejscu, powiadają, ojciec jegomość, *urodzonego* Kościuszkę na kobiercu rozłożył...

— Nie dla wróbli synogarlice... — dopowiadał przy plagach.

Powiadają, że pan pisarz miał do tak srogiej pomsty słuszne powody, jako że we wspomnieniach o tym wypadku nie brak i okienka, przez które nocką, o księżycu, przemykała się panna do sadu, nie brak nawet miejsca, gdzie stała jakowaś altana i gdzie pewnej nocy majowej, krzyk słodki bolesnego wzruszenia przerwał na chwilę pienia słowicze, a potem szept pocałunków w nich zginął.

— Kto był przy tem? Kto słyszał?

— Dawno w ziemi, panoczku.

Każde podanie ma jednak pewną podstawę, — jakieś zdarzenie — krosna, na których dzierga ludu

fantazya, aż obraz pełny wysnuje. Istotnie w Sosnowicy pannę porwano.

»W miasteczku Parczewie, o trzy mile od Sosnowicy, stał z rosyjskim garnizonem swoim kapitan Markow, który przyjeżdżał niekiedy do Hetmana z atencyą, a przyjmowany grzecznie, korzystał z gospodarskiej uprzejmości tem chętniej, że mu wpadła w oko i niezmiernie się podobała jedna z panien, będących we fraucymerze samej Hetmanowej. Panna z czułem sercem, jak widać, nie umiała być srogą.. Tradycya nie podaje, jak się ci państwo porozumieli, ale to jest rzeczą pewną, że w tym samym czasie właśnie, kiedy Kościuszko wrócił na chwilę do Sosnowicy, a pani Hetmanowa w podróż się wybierała, pan kapitan z wielką zręcznością potrafił cichaczem w nocy wykraść z Sosnowicy swoję Donzellę, która uciekła z nim pokryjomu, ku wielkiemu zmartwieniu pani Hetmanowej i nieskończonym plotkom, w okolicy powtarzanym.

Gdy w lat wiele później imię Kościuszki zasłynęło w świecie, kiedy poczęto skwapliwie wyszukiwać wszelkich szczegółów z całego życia i przeszłości Generała, wówczas to, jak pisze Siemieński, pojawiła się najpierwej w dziele Ségura: *Tableau des événements politiques de l'Europe,* owa wiadomość o wykradzeniu Hetmanówny przez Kościuszkę, a gdy się Generał upominał o sprostowanie tego

fałszu, autor utrzymywał, że wyczytał o tem w jakiejś gazecie angielskiej«. *)

I pono istotnie pan kapitan miał jakąś przykrą na mostku przygodę, którą wraz ze słodyczą upojeń w altanie, podlaska opowieść obdarza Kościuszkę.

Gdzież prawda, bo nie zawsze w historyi?

— Śpi w ziemi, panoczku.

. . . .

Urok tego kochania, po dziś dzień, jednak w Sosnowicy pozostał. Tysiąc świadków żyjących o niem rozpowiada, bo gdy się wsłuchać w drzew jesienne poszumy, snuje się z tych szmerów historya bohaterskich uniesień i żalów.

Chwilami, z daleka, wiatr dźwięki cichej pieszczoty przynosi, — to wody, o chwilach radości, o pocałunkach coś prawią...

Tu potężny wojownik, co na armaty szedł z kosą, drżał może w słodkim niepokoju, gdy czekał na ukochaną dziewczynę, tu może, nieulękniony, krył się przed ogrodniczkiem, gdy go nocą w parku napotkał, własnego cienia się lękał, by serdecznej tajemnicy nie zdradzić, tu jednak niewątpliwie przeżył chwile czarowne, jakich mu żadna *gloria* bitewna nie dała.

I to właśnie kochanie jakby do Sosnowicy przywarło, gdzie oczy nie zwrócić, tam żyje, bo myśl,

---

*) Kajetan Kraszewski.

żywy kształt daje wrażeniom, stroi w barwy drogą postać polskiego żołnierza i panny z białego dworu.

A najmiłośniejszy — to już stary dąb w parku. Przed laty obok niego padło sosny nasionko skrzydlate, i pęd młody wyniósł się szybko do słońca Wtedy dąb się nad sosną pochylił, a może i ona, chociaż iglasta, ku niemu przygięła, aż twardo się zwarli — i zrośli. Jakby w pocałunku, piją życie ze siebie. Niżej, niby objęcia, splątane konary, zaś wieniec gęstwy liścianej kryje wstydliwie tajemnicę uścisku.

Wokoło drzewa zmurszałe, brodate, ostatnie dawnej Puszczy niedobitki, czasy niedoszłej *Unii z Moskwą* pamiętające dziady, i ręką Kościuszki posiana młódź stuletnia, co do *ugody* dotrwała, a ileż to jeszcze lat życia, przed wiekowym olbrzymem, zmian ile, zanim się w próchno moc dawna rozsypie!

Z minionej okazałości spory las jeszcze Sosnowicy pozostał. Drzewa, zwarte jak wojsko. Przodem wysunęły się topole — widety, za niemi dębów straż przednia, a dalej — z buków, świerków i grabów — dawnej gwardyi czworobok. I jakby szumią proporce, wiatr górą drzewa kołysze; dźwięczy bór śpiewem, radością, — serc tysiąc, gdy w nich siła i miłość.

— Hej, hej!... Nie zginęła jeszcze... — aż huczy, aż drży.

Nagle cisza i zmrok. Sunął wicher po pniakach, po krzach, jakby cienie z pod ziemi wydobył, wzbił tumany nad las i snadniej uderzył. Cisnęły się młode grabki w popłochu, gibkie brzózki tańcują, jakby niepewne, trwoga, czy żart, ale już za rozwichrzone czuby porwała je moc, trzepie niemi po pniach — i trzask, trzask, śmierć kładzie żywoty.

Już wicher wyżej się wzbił, lipy postrzępił, zwarł dębów konary, a gdzie gęściej, gdzie silniej drzewa ku siebie przywarły, tam się szamocze. Nagle się cofnął jakby osłabły i runął pędem, zionął potężnym oddechem. Łomot, huk, wycie, a górą pędzi rzechot daleki, przewaliło kół tysiąc nad lasem, trysnęły ognie i — grom.

Zdarł z sosny kołtuniastą czapę, szarpnął buki sąsiednie na śmierć, a raz wraz uderzyły dwa błyski. Rozszczepiona lipa, biel z niej wydarta, w ogniu grab stanął, tysiąc kół pędzi, gruchocze, grają niebieskie harmaty, rozgorzało na górze, rozpłomienił się bór. Zgasł nagle, a w ciemność wicher uderzył podstępnie — i rwie z ziemi, łamie drzewa osłabłe, skręca w powrozy, wali dęby, co piorunom ostały.

I nagle — jakby moc wichru przecięła potęga, nagle stała się cisza, cisza pustki i mroku. Zamarł nad śmiercią puszczy smutek ponury, bez jęku.

Zwolna, trwożliwie z odrętwienia grozy budzi

się myśl, wyłania się z niej, barwi w obraz wspomnienie:

Maciejowickie pola... Klęska zniszczenia i rozpaczliwe słowa skłutego kozackiemi pikami mocarza.

. . . .

Lecz oto przychodzi świt, słodkie, ożywcze tchnienie płynie przez lasy rozśpiewane, szumiące, a człowiek w łapciach w »łatusze«, biedny, prześladowany, ciężkiem życiem zmęczony — »unjata«, aż usta z podziwu otworzył.

— Wo imia Otca i Syna... Wże las stoi, jak stał, a ludy kazali, szczo propaw.

I spieszy dalej, pełen otuchy, z jedynem dobrem swojem, z toporkiem, do pracy, a za nim stara puszcza:

— Hej, hej!... Nie zginęła jeszcze... — aż huczy, aż drży.

*
* *

Cudna wieś Sosnowica. Wody i lasy, i stare pamiątki, i wspomnień uroki i zachowana do dzisiaj z całym szczodrym swym wdziękiem polska gościnność.

W skromnym, niewymyślnej struktury, lecz z poczuciem sztuki i wygody zbudowanym dworku szlacheckim, mieści się dawnych dziejów, dawnych dworów historya, zaklęta w starych meblach, księgach, obrazach i wdzięcznej pamięci ludzi dawniej-

szych, lepszych a szczerszych i — trwalszych, niż nowy gatunek, kłamliwy i wątły. I cieplej jakoś w tych dawnych izbach się zdaje i błogo myśli wśród dawnych sprzętów, portretów.

Na lewo, z obszernej sieni, apartamenta niegdyś pani Hetmanowej i panien, zachowały jeszcze wszystkie ślady dawnych ozdób i urządzenia, gdyż obecny właściciel z całą miłością opiekuje się tem dobrem, które, acz należało do niezbyt wiernego syna ojczyzny, opromienione czarem wspomnień, związanych z Kościuszką, każdemu polskiemu sercu musi być drogie.

Opieką szczególną, oczywiście, otoczony jest pokój w lewym pawilonie, od strony ogrodu, gdzie późniejszy generał, podówczas człek marnej kondycyi, guwerner, przestróg gramatycznych jejmościankom udzielał, ćwiczył w historyi i ziem opisaniu, do rachunków sposobił pojęcie, — i to miał zalecone, aby w łatwych dyskursach dał panienkom sposobność zdobycia wiedzy rozmaitej, bez wstrętu.

Poza panieńską komnatką, gdzie dotąd stół pamiętny pozostał, trwają w zachowaniu inne pokoje; w każdym szerokie u dołu lamperye, a ściany w obramowania czyli kadry ujęte. Na nich malowidła, wedle mody ówczesnej, francuskiej: wyobrażenia zadumanych baranków, piesków szczekliwych, panienek bufiastych w konfidencyi z paste-

rzem, ówdzie para gołąbków, tam róż wianek, a wszędzie tkliwe kochanie, — Nowej Heloizy czasy. I trochę sprzętów, kanapki, zydelki, — «polski *empire*« i Ludwik XVI.

Skarb bodaj cenniejszy w skrzyniach się mieści. Stare papiery, indygenaty, podania, królewskie rozkazy i całe tomy historyi sporów sąsiedzkich o »troje gęsi, fantowanych bez prawa«, »o pół staja ziemi użytecznej, przywłaszczonej pługiem«, wreszcie stosy listów, gdzie wstęp szeroki, końcowych komplimentów obfitość, a treści trzy wiersze, i w końcu ciekawy dóbr wszelkich J. W. Hetmana, inwentarz, w którym skrupulatnie spisane obok »szelkretowych tabakier, złotem szmelcowanych, perłami zdobnych«, dyamentowych zaponek, sobolowych kołpaków, — dwie kitajkowe czapki »dobrze znoszone«, bajowy kitel »do użytku jeszcze«, buty kurdybańskie »tęgo schodzone« i — »szmat na onuce, par trzy!«

A prawią ludzie, że w dawnej Polsce ładu, rachunku nie było.

O jakieś dwie staje od dworu wznosi się kościół. Dwie wyniosłe dzwonnice od czoła, mur wkoło. Fundatorką świątyni była małżonka Hetmana, Tekla z Zenowiczów, starościanka Snitowska, pani w funkcyach Chwały Bożej zabiegliwa wielce.

Opodal cerkiew wynosi swe szczyty szafirowo-

zielone, nad pięknie żółtemi ścianami. Zgoda w obu parafiach, choć stale teologiczne dysputy, która »wira« prawdziwa: »ichnia, czy nasza«, zaś niezdecydowanie w tej mierze tak wielkie, że wielu prawosławnych tylko w kościele modły odprawia.

— Bo co prawda, to prawda, że u was nabożeństwo piękniejsze.

— A widzisz. Znaczy — nasz Pan Bóg ważniejszy.

— Nu, breszesz... — ale w myślach zasiada wątpliwość i dręczy, wskutek czego i tak się często przydarza, że rusin po swem nabożeństwie do kościoła spieszy — dla wszelkiej pewności.

Opowiadają o jednym, że w Wielki Piątek, zapytany w kościele, czy to katolicyzm już przyjął, odpowiedział z całą prostotą:

— Nie, i w myśli tego nie było, żeby wiarę ojców zmieniać, ale któż to tam może wiedzieć, czy Pan Jezus zmarł dzisiaj, czy dwanaście dni później. Toż wiadomo, człowiek omylny, tak czy nie lepiej i tu, i tu, Pana Boga pochwalić, żeby grzechu nie było.

— Isz, jaki chitry.

Chytry istotnie jest rusin i w wielu sprawach życiowych radzi sobie podobnie, że i Bogu świeczkę, i dyabłu ogarek. — Nie wyżyjesz inaczej, — powiada, a twardy zdawna tu byt, gdzie szczerk

żółty, bagna, karłowate sosenki, gdzie tylko »laski, piaski, karaski ma szlachcic podlaski«.

* * *

Poza sentymentem wspomnień, poza czarem, jaki gości wśród borów i wód ziemi podlaskiej, przyszłością żyje wieś Sosnowica. Nowy prąd ją porywa, nie pozwala gnuśnieć w sielance myśli o tem, co było, lecz prze i unosi na rwące wody dzielnego czynu, i oto od lat paru kłębi się tam, gdzie kochał Kościuszko, fala pracy gorącej, serdecznej, w zabiegach o materyalne dobro własne, i tej ziemi, co to była tak szczodrą, jak żadna na świecie.

Lecz co robić z ławami piasku, z rolą, która nie rodzi, z wielką przestrzenią po borach odwiecznych, kędy nawet chłop, chciwy na grunt, patrzył ze wzgardą, nie chcąc brać tych wycinków za serwitut, ani na zamianę, i grzeczny, pokorny, czapę miętosił, niby niepewny, po łbie się drapał, lecz stał twardo przy swojem:

— Koły, pane bahon, oraty tam nijak, i łuha ne bude, a na pasowisko chudobę pohubisz.

Wiedział o tem i obecny właściciel fortuny, troskał się, rady nie dawał, aż wreszcie podjął przedsięwzięcie olbrzymie. Przy pomocy zaufanego technika zbadał przestrzeń starannie, spady odnalazł, groble obmyślił.

— Niech woda Sosnowicę ratuje od zguby.

Wnet po dworach buchnęła wieść lotna:

— Oszalał sąsiad kochany!

Lecz ruszyła robota na szpadle, łomy, taczki, fury, wagony: zakipiało życie na odludnych obszarach. Prawdziwie mrówczą pracą zdobyte, wznosiły się groble, nasypy, a pod jesień ogień pracę wspomagał, biegł między pniami, po suchych trawach, sitnikiem przerosłych, nigdy kosą nietkniętych, oczyszczał dna przyszłych stawów. Aż rozlał się szeroko, i poszła z wiatrem pożoga, łuny w noc ciemną zeszły na niebo, żałość i trwoga na serca.

— Szczo z toho bude, — szczo z toho bude?

Dziesiątki tysięcy chłonęła robota, a niechęć, prawie nienawiść wokoło, zaś gdy się zdarzyło, że do wypłaty pieniędzy zabrakło, gdy potrzeba było wyjaśniać niewątpliwą korzyść z rybołówstwa w przyszłości, co zatem — bezwzględną pewność odbioru, słuchał żydek parczewski, brodę w pukle zawijał, rozważał, aż odezwał się w końcu:

— Może pan dziedzic, na psa urok, w karty coś przegra, może się jaka panna spodoba, — ja zawsze wygodzę, ale na taki interes, co się piasek z jedno miejsce na drugie przewozi, ja nie jestem ryzykant.

I byli, jako granit, parczewscy żydkowie.

Lecz minął rok ciężki, minęła jesień robocza, i zanim całun śnieżny pokrył odradzające się dla

15*

nowej pracy przestrzenie, pierwsze kilkaset morgów przygotowano pod zalew. Niepokój, noce bezsenne, a we dnie żart ludzki, — aż błysła wiosna. Spłynęły lody, przez kanały buchnął wód strumień, padł w objęcie spragnionej niziny, a gdy w moc urósł, sparł się o wały potężne, zamarł w taflę lustrzaną. Za nim w różnych kierunkach, bystro wody pobiegły, a po dniach paru zabłysły szeroko, daleko płyty srebrzyste, kryjąc swej mocy bogactwem biedne nieużytki, pniami porosłe.

Czar twórczy drgnął w sercach sprawców.

Gromady ludu stanęły na brzegach, i po udręczeniach, trudzie i znoju, zabłysło pierwsze w myślach uznanie, wydarło się z chłopskiej piersi ciche słowo nagrody:

— Boh wam pomahaj!

A potem już dzień każdy niósł coś nowego. Na dawne legowiska wędrownych żórawi zleciały gromady ptactwa: nury, czaple i kaczki, zjawiła się mewa — wróżba pomyślna, a po miesiącu już sunęły, jak groty w słońcu złociste, ryby przeniesione do stawów, snuły się chmarą żwawe igiełki — pierwszy zarybek — przyszłe bogactwo na tych obszarach, gdzie użytków już nikt nie zamieni, topór zawzięty nie uczyni szkody, nie poćwiartuje parcelant.

I oto na piaskach śmierci zakwitło życie.

Zastanowił się sąsiad dobrodziej, zadumali ży-

dkowie z Parczewa i na przedsięwzięcie spojrzeli życzliwiej, a z obywatelstwa ten i ów już sunął z radą...

I szkoda, — bo tak blizki uznania sprawca przedsięwzięcia, znów zepsuł wrażenie, nowe popełnił »szaleństwo«.

Z odwiecznego, dzikiego jeziora dziesięciu włók rozległości, wodę spuścić umyślił, i wnet na wytkniętą linię sześciowiorstowego kanału chmara robotników spadła, werznęły się w ziemię łopaty...

— Baczył, szczo wyrablaje? — i trwoga padła na starych rybaków, bo przecież wiadomo, że na spodzie jeziora stoi dotąd dawny gród zatopiony, o szczyty kościołów niejeden sieci już porwał, a na dnie — na samem jest taki wielgoryb, strach mówić, — dla wsi całej nieszczęście, gdyby w sieci wpadł komu.

Jesienią podniesiono upusty, zakotłowało się w szluzie, ruszyła potęga. Lud zdjął czapy i patrzył w podziwie.

Rzucono pierwsze niewody, wydobyto pierwsze tysiące. Zjechali się kupcy z zagranic, krzyk wstrząsnął Podlasiem.

I już co dnia sieci na wodę, co dnia głos uwielbienia, gdy niewód rozwiną. Żywa kłębiąca się masa, w której po kolana brną ludzie z szuflami. Raz po raz ustaje robota, bo dziw rusinowi, choć nieskory do wzruszeń, gdy ze srebrzystej, ślizkiej

roztoczy życia, barwy i kształtu ciśnie się potwór mchami porosły, dnu jeziora wydarty, czarno miedziany karp olbrzym, lub gdy z masy kleistej leszczawek, »wijunów«, »piskarów«, śliziów, kleniów, krasnopiór, wydrze się zbój wodny — szczupak i zwija w kręgi sprężyste, aż drobna płoć pryska z pod niego.

— Trymaj, trymaj, bo utecze!

Dwóch chłopów go jęło, wydarł się, chlusnął, wielkie kręgi sunęły po wodzie.

— Po — oszedł!... — ale jakby rad ten i ów, bo zręczność i moc zawsze serca zdobywa.

Kipi robota, i mrą słabe płotki, — »śmierci zwyczajne«, chłop mówi z pogardą.

Chwila, i znów idą sieci na wody dzikiego jeziora, po nowy kapitał, po środki do nowej roboty, co nie ustaje wokoło... Aż huczy u *zimochowów, przesadkowych, wyrostowych* stawów i *wycierowych* łazienek miłosnych, gdzie zasadę hodowli stanowi... trójkąt małżeński. Samica, dwóch samców i — zazdrość, z czego podniecenie w zalotach i... większa ikry wydajność, — przyszłego bogactwa poczęcie, zarybków zbiór milionowy.

* * *

Lada dzień spłyną wody na dawną Sosnowicką puszczę. Nasycą się niemi stawy Kościuszki, Morskie Oko, Nosal i Giewont, i pocznie ożywiona

wiosenna robota nad utrwaleniem materyalnego bogactwa tej cudnej wsi polskiej, gdzie wszystkie uroki.

Lada dzień rozebrzmi śpiewem park stary, rusińska pieśń rzewna przez pola poleci, ozwą się głosy ligawek, zejdzie w całej swej krasie polska wiosna na ziemię, biało-czerwono drzewa zakwitną...

I lada dzień z blasków, radości i śpiewu, wyłoni się zgrzyt:

Chołmskaja gubernia.

Tam, gdzie kochał Kościuszko.

SPIS RZECZY.